

4/2013 PODLASKI KWARTALNIK KULTURALNY

Nr indeksu 332194 ISSN 1234-6160



PODLASKI KWARTALNIK KULTURALNY

4/2013

Miejska Biblioteka Publiczna
Towarzystwo Miłośników Podlasia

*Jak se staniesz przed Wielkim Sądem i cie spytajom „kto?”,
nie będziesz mówił filozof ani redaktor, ale powiesz – „jo” (ks. J. Tischner)*

Kolegium redakcyjne: Jarosław Bartniczuk (sekretarz), Tomasz Demidowicz, Ryszard Kornacki, Grażyna Lewczuk, Grzegorz Michałowski (red. naczelny), Roman Pieńkowski, Maria Pietruczuk.

Wydawnictwo ukazuje się
przy pomocy finansowej:

Prezydenta Miasta Białej Podlaskiej

Na okładce:

Piotr Kowieski – Obraz olejny

Ilustracje:

Arkadiusz Sawczuk

Red. techniczny:

Grzegorz Michałowski

Adres redakcji:

Miejska Biblioteka Publiczna „Podlaski Kwartalnik Kulturalny”, ul. Warszawska 12A, 21-500 Biała Podlaska, tel. (83) 341 64 52, www.mbp.org.pl,
e-mail: regionalia@mbp.org.pl Nakł. 400 egzemplarzy

Druk i oprawa: Poligrafia Miejskiej Biblioteki Publicznej w Białej Podlaskiej

Spis treści

ARTYKUŁY

Stefan Pastuszewski

Starowierzy w polskiej literaturze pięknej 7

Bogusław Korzeniewski

Niemiecko-sowiecka defilada w Brześciu n/Bugiem
(22.09.1939 r.) 30

Agnieszka Wawryniuk

Kapłan, przyjaciel, wychowawca: wspomnienie
o ks. dr Edmundzie Barbasiewiczu (1912-1978) 45

WSPOMNIENIA

Alina Wojniakiewicz

Młodość i wojna: wspomnienia z lat 1939-1944 57

Roman J. Łysakowski

Moja pierwsza okupacyjna wigilia. Niezapomniana! 79

PREZENTACJE

Dominik Sobol

Wiersze: [nie płonę na świeczniku], Zachodzące
słońce, Nieśmiałość miłosna 83

Weronika Iwaniuk

Portret kobiety niedoskonałej 97

RECENZJE * VARIA

Jurata Bogna Serafińska

Poetycki sen o domu 102

Maria Makarska

Życie boli ... (o poezji Weroniki Iwaniuk) 106

Jarosław Bartniczuk

Pogańskie przytulanki (*felieton okolicznościowy*) 110

KRONIKA KULTURALNA

112

Nadesłano do redakcji

117

W kręgu współpracowników i przyjaciół „Podlaskiego Kwartalnika Kulturalnego”



- Hanna Bajkowska* (Biała Podlaska) ■ *kultura*
Mariusz Bechta (Biała Podlaska) ■ *historia*
Ryszard Chojecki (Łosice) ■ *literatura*
Józef Czapski (Tuczna) ■ *pamiętnikarstwo*
Bp Antoni P. Dydycz (Drohiczyn n/B) ■ *historia, socjologia*
Aniela Halczuk (Żeszczynka) ■ *folklor*
Jan Ignaciuk (Lublin) ■ *folklor, historia*
Aleksander Iljin (Pińsk, Białoruś) ■ *historia*
Stanisław Jadczak (Lublin) ■ *kultura, regionalizm*
Szczepan Kalinowski (Biała Podlaska) ■ *historia*
Wanda Kardasz (Wrocław) ■ *pamiętnikarstwo*
Helena Kiwako (Brześć, Białoruś) ■ *literatura*
Agnieszka Kolasa (Zabłocie) ■ *historia*
Bogusław Korzeniewski (Piszczac) ■ *historia*
Tatiana Kowieńko (Brześć, Białoruś) ■ *regionalizm*
Henryk Kozak (Lublin) ■ *literatura*
Roman Łysakowski (Warszawa) ■ *historia, kultura*
Maria Makarska (Lublin) ■ *literatura, sztuka*
Tatiana Nałobina (Brześć, Białoruś) ■ *literatura*
Małgorzata Nikolska (Biała Podlaska) ■ *historia sztuki*
Helena Romaszewska (Biała Podlaska) ■ *literatura*
Arkadiusz Sawczuk (Biała Podlaska) ■ *plastyka*
Władimir Suchopar (Brześć, Białoruś) ■ *kultura*
Leon Szabluk (Małowa Góra) ■ *pamiętnikarstwo*
Jurata Bogna Serafińska (Warszawa) ■ *literatura*
Leszek Sokołowski (Krzymoszyce) ■ *literatura*

Ernest Szum (Biała Podlaska) ■ *socjologia, historia*

Paweł Tarkowski (Biała Podlaska) ■ *historia*

Andrzej Tłomacki (Warszawa) ■ *historia*

Lech Zaciura (Biała Podlaska) ■ *literatura*

■ ■ ■

Podlaski Kwartalnik Kulturalny jest popularnym wydawnictwem adresowanym do miłośników Podlasia oraz środowisk zainteresowanych problematyką wschodniego pogranicza kulturowego. Polecając czytelnikom nasze czasopismo sugerujemy wybranie najkorzystniejszej formy jego zakupu – stałą prenumeratę. Przyjmuje ją Miejska Biblioteka Publiczna: **prenumerata na rok 2014 wynosi 50 zł** (łącznie z kosztami przesyłki). Konto: Miejska Biblioteka Publiczna w Białej Podlaskiej Kredyt Bank Oddział w Białej Podlaskiej – nr konta: **47 1500 1331 1213 3000 7663 0000**. Tylko prenumerata gwarantuje systematyczność otrzymywania kolejnych numerów kwartalnika, a tym samym najnowszych artykułów o tematyce regionalnej, informacji o nowych publikacjach, wydarzeniach i zjawiskach kulturowych, jakie zachodzą na Podlasiu. Zachęcamy do popularyzowania kwartalnika wśród znajomych i przyjaciół oraz nadsyłania uwag, opinii i propozycji dotyczących jego zawartości.

* Artykuły zawarte w *Podlaskim Kwartalniku Kulturalnym* są własnością ich autorów. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za ich treść merytoryczną.

Redakcja

Stefan Pastuszewski

(Bydgoszcz)

Starowierzy w polskiej literaturze pięknej

Obecność starowierów w polskiej literaturze pięknej jest adekwatna do ich obecności w świadomości Polaków, czyli bardzo skromna. Pojawiają się oni głównie w utworach twórców pochodzących z Kresów Wschodnich, bądź przymusowo lub dobrowolnie przebywających w głębi Imperium Rosyjskie-go. Pisarze, w tym pamiętnikarze, odnoszą się do starowierów z dużą estymą, przede wszystkim z uwagi na ich głęboką religijność i wysoką moralność, ale też wierne trwanie przy swoich surowych obyczajach. Zazwyczaj nie wnikają w głąb tego fenomenu etnoreligijnego, jak ma to miejsce w literaturze rosyjskiej¹.

Polscy zesłańcy XIX wieku na odległe rubieże Rosji mieli możliwość zewnętrznej, a więc, w miarę obiektywnej obserwacji stosunków religijnych, zazwyczaj z pozycji katolicyzmu i kultury zachodnioeuropejskiej. Wileński matematyk i ekonomista Zygmunt Rewkowski (1807-1893), zesłany po Powstaniu Listopadowym na Kaukaz, dokonał porównania stanu moralnoobyczajowego prawosławia i starowierstwa. Krytykując ciemnotę i zepsucie obyczajów w nowoprawosławiu napisał, że starowierzy, ale też inne sekty, *po mimo prześladowania ciągłego od Rządu, i małych środków działania im zostawionych, tworzą zawsze uczciwszych i porządniejszych ludzi, którzy więcej mają poczucia własnej godności i mniej obyczaje zepsute, niżeli Religia panująca, prawosławna, ku rozszerzeniu, której Rząd wszystkie swoje środki i starania przyjmuje*².

W temacie starowierskim, tak z pozoru bliskim temu autorowi, twórczość powieściopisarza Michała Czajkowskiego (1804-1886) wymyka się jednoznacznym ocenom, czy to pod względem kryteriów faktograficznych, czy nawet etnograficznych. Współtwórca hierarchii białokrynickiej (od 1846

¹ Eliza Małek, *Staroobrzędowcy i ich piśmiennictwo w twórczości pisarzy rosyjskich drugiej połowy XIX wieku*; [w:] też, *Literatura dawnej Rusi w twórczości pisarzy rosyjskich drugiej połowy XIX wieku*, Bydgoszcz 1982, Wydawnictwo Uczelniane WSP, s. 51-58.

² Zygmunt Rewkowski, *Pamiętniki*, t. I, Wrocław 2011, Instytut Matematyczny Uniwersytetu Wrocławskiego, s. 140.

roku) i rzecznik kozaczyzny dobrudskiej wobec tureckiej Porty, wyjątkowo swobodnie sporządzał swoje zapisy o starowierach. W powieści *Kirdżali* w przypisach pisze, że *koło Babadaży zamieszkują Zaporozże polscy, czyli Niekrasowcy*³, co jest ewidentnym błędem, gdyż są to odrębne gałęzie kozaczyzny, zarówno pod względem proveniencji, jak i wyznania. Zaporozcy znad Dniepru byli w większości nowoprawosławnymi, podczas gdy niekrasowcy, wydobywający się znad Donu, a potem Kubania, byli rzeczywistymi starowierami. Niemniej, zarówno dwie najważniejsze powieści kozackie *Wernyhora* (1838) oraz *Kirdżali* (1839), jak i wspomnienia, nie mówiąc już o raportach agenturalnych Mehmeda Sadyka Paszy, są pełne odniesień do kozackich starowierów, widzianych jednak bardziej jako formacja polityczna niż religijna. Inna rzecz, to wiarygodność i rzetelność zawartych tam informacji. Obydwie powieści pisane były z pamięci, papierów i ...fantazji, jeszcze przed bezpośrednim zetknięciem się autora z niekrasowcami. Doprawdy, do świata iluzji zaliczyć należy *Cesarstwo Dońskie, w którym dwie wiary prześladowane, katolicka i starowerska, podadzą sobie ręce (choć starowierstwo byłoby tam religią panującą), by państwo to utrzymać i rósć w potęgę, a nawet dodać ducha protestanckim Szwedom, ugniatanym przez rosyjskie prawosławie*⁴. Michał Czajkowski i Ludwik Lenoir-Zwierkowski (1804-1860) wydali w 1857 r. w Paryżu książkę wspomnieniową pt. *Kozaczyzna w Turcji*.

Za sprawą Sadyka Paszy ze starowierami zetknął się przelotnie Adam Mickiewicz (1798-1855). Włączając się w organizację walczących o niepodległość legionów udał się on we wrześniu 1855 r. - w czasie wojny wschodniej - do Konstantynopola, aby wesprzeć M. Czajkowskiego w jego sporze z Władysławem Zamoyskim, który chciał dowodzić drugim pułkiem Kozaków otomańskich, pozostających jednak na żołdzie angielskim. 6 października 1855 r. poeta przybył ze Stambułu do Burgas, gdzie stacjonowały obydwa pułki. Pierwszy z nich, znajdujący się pod bezpośrednim dowództwem Sadyka, składał się z sotni Kozaków, w tym dwóch starowierskich, Bułgarów, Wołochów, Polaków z Galicji i około dwustu Żydów. Wieszczył włączył się w obozowe życie; mieszkał w namiocie, brał udział w ćwiczeniach i polowaniach: *Poeta zawsze był pełen ochoty i wytrwałości. Posiłek spożywano dwa razy dziennie o 10 i o 5 po południu. Do stołu zasiadali wszyscy oficerowie, podczas uczty śpiewy, muzyka, tańce kozackie, a nawet teatr kozacki (...) We wtorek, 9 października, odbył się przed południem przegląd pułków. Mickiewicz dał się ponieść koniowi aż przed sotnie kozackie*⁵.

³ Michał Czajkowski, *Kirdżali*, Lipsk 1900, F.A. Brockhaus, s. 195.

⁴ Michał Czajkowski, *Moje wspomnienia z wojny 1854 roku*, Warszawa 1962, Wydawnictwo MON, s. 11.

⁵ Zbigniew Sudolski, *Mickiewicz. Opowieść biograficzna*, Warszawa 1995, Wydawnictwo Ancher, s. 856-861.

Imponowali Mickiewiczowi Kozacy, przede wszystkim niekrasowcy. Podczas jednej z obozowych zabaw zaciągnął się – symbolicznie – w rejestr sotni żurilowskiej, czyli starowierskiej. Widząc wielonarodowość i wielowyznaniowość pułków wpadł na pomysł uformowania legionu żydowskiego. Z inicjatywy A. Mickiewicza, Sadyk wydał zarządzenie, *aby w obu pułkach żołnierze różnych wyznań święcić mogli swój dzień święty, a więc mahometańskie – piątek, Żydzi – sobotę, a chrześcijanie – niedzielę. Rozkaz został odczytany przed frontem wszystkich sotni i kompanii*⁶. *Dziś idzie o to, aby ludzi religijnych złączyć w przyszłość Polsce, w imię wyższej prawdy* – apelował poeta 25 października w liście do A. Czartoryskiego: *Sadyk-Pasza ma sotnie różne; obok ukraińskiej (zaporożskiej – przyp. SP) są dobrudzkie i kubańskie (lipowańskie i niekrasowskie, a więc starowierskie – przyp. SP) (...) U nieregularnych Kozaków zaprowadzony większy rygor; wszakże widziałem, że ten rygor nie osłabia ich przywiązania do dowódcy (...). Taka formacja, gdyby rozwinęła się w większą liczbę pułków, potężnym stałaby się narzędziem dla sprawy polskiej*⁷. (Przez Kozaków nieregularnych należy rozumieć tych, którzy nie płacili żadnego haraczu Porcie, a w razie wojny zasilali oddziały tureckie, sami się ekwipując i dowolnie, nie w jednolite mundury, ubierając).

O fascynacji wieszczą Kozakami świadczy żartobliwy list z 14 listopada do irlandzkiego działacza Johana Martina (1812-1875), w którym stwierdził, że *Kozacy są, jak się okazuje, moimi współrodakami. Może to Pana zdziwić, ale na razie byłoby długo tłumaczyć Panu te tajemnice polskiej emigracji*⁸. Owymi tajemnicami był bez wątpienia zamiar zorganizowania antycarskiego materiału palnego ze słowiańskich zaciągów, w tym starowierskich. M. Czajkowskiemu przekazał więc w liście z 18 listopada, że będzie *naczelnikiem żywiołu chrześcijańskiego w Turcji*⁹, co zbiegło się z nominacją poturceńca przez sułtana Abdul Medżuda (w 1849 r.) na *agenta Sułtana do spraw słowiańskich*¹⁰. Kto wie, czy pobyt w obozie pod Burgas nie przyspieszył śmierci naszego wieszczą. Zachorował tam na poważny nieżyt przewodu pokarmowego. Przyczyną choroby był bigos z tłustej baraniny i stęchłego salami, podany podczas wieczery kozackiej. Spowodowała on ostrą biegunkę¹¹. Niedomaganie trwało od początków listopada; poeta zmarł w Konstantynopolu 26 listopada 1855 r.

⁶ Marek Czapski, *Szkice Mickiewiczowskie*, Warszawa 1999, Oficyna Wydawnicza „Rytm”, s. 306.

⁷ Adam Mickiewicz, *Listy*, cz. IV, Warszawa 2005, SW Czytelnik, s. 369.

⁸ Ibid., s. 395.

⁹ Ibid., s. 398.

¹⁰ Michał Czajkowski, *Moje wspomnienia o wojnie 1854 roku*, Warszawa 1962, Wydawnictwo MON, s. 12.

¹¹ Zbigniew Sudolski, op. cit., s. 861.

Zapewne to niemożliwe, aby Kazimiera Iłakowiczówna (1888-1983), spędzająca dzieciństwo na Inflantach, a konkretnie w okolicach Krasławia (1895-1905), nie zetknęła się ze starowierami.¹² Byli oni w tamtych czasach jakby stałym, choć egzotycznym dla Polaków, elementem inflanckiego krajobrazu. Nic też dziwnego, że poetka w zbiorze *Popiół i perły* (1930), będącym po części lirycznym reportażem znad Dźwiny, poświęciła im aż dwa, a może nawet trzy-cztery wiersze – obrazki. Posłużyła się w nich potocznym w tym regionie, ale wówczas niezbyt jeszcze pejoratywnym, ukraińsko-białoruskim określeniem *kacapi*, wywodzącym się od wizerunku mężczyzny z brodą, czyli wyglądającego jak kozioł - *kak cap*. Zresztą do czasów cara Piotra I broda była symbolem rosyjskości.

Zdumiewające, że w tych krótkich wierszach¹³ nie tylko wyeksponowała podstawowe cechy wizerunku starowierów (olbrzymi wzrost, wielkie nogi, jasnożółte brody, kapoty i łapcie), ale też charakterystyczne zachowania i obyczaje, jak żegnanie się przy jedzeniu oraz przy picu alkoholu (z umiarem), postny pokarm (barszcz i kapusta), patriarchalizm w rodzinie (posługiwanie mężczyznom przez kobiety). Zarejestrowała kontemplacyjną modlitwę milczenia i spoglądania (*jasnymi oczami w jasne patrzą niebo*), wielodzietność (ośmiu synów) oraz typowe dla starowierów zajęcie, związane z dyktowanym przez licznie posty quasi-wegetarianizmem, czyli sadownictwo.

Dostrzeżony przez młodą poetkę kontemplacyjno-modlitewny rys starowerskiego wizerunku Marian Gorzkowski (1830-1911) odnotował w 1881 roku w *Szkicach z Białej Krynicy, stolicy metropolii starowierców rosyjskich*, utworze będącym reportażem o literackim zacięciu: *Starowiery (...) mają wysoko rozwinięte przekonanie o istnieniu mocy Bożej i wpływie Boga na ludzkie życie i losy. Stąd każdą czynność w domu i za domem rozpoczynają od westchnień i krzyża (...) Kontemplacyjne skupienie ducha, któremu oddają się wszyscy z pewnym zamilowaniem, nie potrzebuje żadnych rozrywek i to stanowi ich odrębność*¹⁴.

Kazimiera Iłakowiczówna

Kacapi

*Kacapi jedzą powoli pod jabłonią,
barszcz okazały, kapustę pełną woni:
hoże służą im dziewczki, wielkonogie baby.*

¹² Stefan Pastuszewski, *Osobisty nieprzyjaciel Pana Boga*; „Świat Inflant” 2012, nr 9, s. 3-8.

¹³ Kazimiera Iłakowiczówna, *Poezje*, Lublin 1989, Wydawnictwo Lubelskie, s. 161-162.

¹⁴ Marian Gorzkowski, *Szkice z Białej Krynicy stolicy starowierców rosyjskich*, Kraków 1881, Wydawnictwo „Czasu”, s. 43,53.

*Czaj piją, jedzą znów aż człowiekowi słabo,
a potem rozpostarli na ziemi kapoty
kładą się rozczesując brody jasnozłote,
żegnają ziewające paszcze jeszcze pełne chleba
i jasnymi oczami w jasne patrzą niebo.*

Starowierzy

*Starowier Wasyl z synami ośmioma
skrzypiące antonówki zsypywał na słomę.
Olbrzymim wzrostem sięgał pomiędzy owoce,
nogi miał wielkie - w łapciach niespożytej mocy.*

*Spieszyli się synowie, pomocne olbrzymy,
by wywieźć plon jabłeczny przed nadejściem zimy.*

Jacy to starowierzy, z całej Wschodnioeuropejskiej różnobarwnej palety, tak zafascynowali autorkę *Słowika litewskiego*? Bez większego błędu można założyć, że byli to synowie przesiedlonych tu, ale też dobrowolnie osiedlających się na tym terenie od połowy XVII w. *osóldaczonych* mieszkańców Dyneburskiego Okręgu Żołnierzy Rolników (1826-1856). Ta 4 - tysięczna rosyjska *Landsweh-
ra* obejmowała 11 folwarków i 230 wiosek w północno-wschodniej części Powiatu Dyneburskiego,¹⁵ a więc tam, gdzie dzieciństwo i wczesną młodość spędzała poetka. To oni w sposób zdecydowany, tworząc strażę wiejskie - pod patronatem N. M. Murawiewa - likwidowali ledwo tłące się w tym regionie zarzewia Powstania Styczniowego. Ale o tym już autorka w swoich wierszach i wspomnieniach nie pisze. Była chyba za młoda, jak na roztrząsanie tak dramatycznego i skomplikowanego wydarzenia, jeśli chodzi o jego przyczyny. Nie mniej, pewien cień *czarnej starowierskiej legendy* (wypadki *inflanckie* z marca 1863 r.) zakradł się do wspomnianego zbioru. Między przytoczonymi wierszami, sygnowanymi również wariantowymi tytułami *Starowierzy I* i *Starowierzy II* (w wydaniu: Warszawa 1930, F. Hoesick i późniejszych), znajduje się taki oto wiersz:

Kradną las

*Ujrzeć ich w lesie jeszcze, jeszcze raz:
stoją między brzozaami, brody mają po pas,
oczy wielkie, niebieskie, nieszczerze
opuścili na ręce, w których dzierżą siekiery.
Konwalie łąką bielą się pomiędzy nami spokojne i bose...
Blisko, tuż ... Boże, co się stanie,
gdy oczy i siekiery błękitne podniosą?*

¹⁵ Stefan Pastuszewski, *Dyneburski Okręg Żołnierzy Oraczy*; „Świat Inflant” 2009, nr 3, s. 1-2.

Wprawdzie owymi złodziejami lasu, z *brodami po pas*, gdyż w tamtym czasie brody nie były wyłącznością starowierów, równie dobrze mogli być Białorusini, Łotysze, Żydzi, a nawet Polacy. Narodowości w inflanckim tyglu było wiele, jednak takie, a nie inne usytuowanie utworu w zbiorze, skłania czytelnika do jednoznacznego wniosku. Co było inspiracją tego utworu, jakiej narodowości ostatecznie byli złodzieje lasu, nikt nie jest w stanie obecnie powiedzieć. W każdym bądź razie można wywnioskować, że impulsem do napisania wiersza były obserwacje własne, bowiem jest to typowy utwór ilustracyjny. Ale Łatgalczycy, z sąsiedniego wiersza *Tamtejsi*, są *bledsi, chudzi, lżejsi, mniejsi, służą starowierom jak parobcy*. A więc, nawet na Inflantach staroobrzędowcy dzięki swej pracowitości i solidarności grupowej należeli do warstwy zamożnych chłopów. No i posiadali własną ziemię, albo też dzierżawili ją na korzystnych warunkach. Rozwarstwienie wsi łatgalskiej, w której starowierzy zajmowali niepoślednie miejsce, było ewidentne. Ale też i bieda, skłaniająca do różnych przestępstw.

Pewne światło na ów tajemniczy wiersz K. Ilakiewiczówny (*Kradną las*) rzucają *Gawędy o czasach i ludziach* (1973 - 1974) Waleriana Myszutowicza (1893-1982). Opisując leśną osadę starowierską w majątku Pojoście, u ujścia rzeki Josty do Niewiaży, sześć kilometrów na południowy-wschód od Poniewieża (lit. Panevėžys), w północno-zachodniej Aukštocie, przytoczył następujący epizod: *Oficjalnie byli rolnikami. Ale uprawiali swoje pola niedbale, urodzaje mieli zawsze marne – żyli z kłusownictwa, a głównie z koniokradztwa. Przez ich wioski w lasach szła zorganizowana dostawa kradzionych na całej Litwie koni – do Prus. Kradzież koni była rzemiosłem niebezpiecznym; rosyjski kodeks karny zaliczał ją do drobnych kradzieży, karanych najwyżej trzyletnim więzieniem. W poczuciu ludności, kradzież konia – rujnująca okradzonego chłopą i pozbawiająca go środków do pracy – była ciężką zbrodnią. Toteż samorzutnie naprawiano lukę kodeksu – przez samosądy. Schwytanego koniokrada bito <przez deskę>; umierał potem wskutek oderwania wszystkich organów wewnętrznych. Koniokradzi mieli swoją, sprawnie działającą organizację. Jakiś czas na jej czele stał jeden z Dołgowów, zwany <Kałakutas> (po litewsku indyk, ptak z Kalkuty). Ze względu na specjalne stosunki Pojościa ze swoimi starowierami, konie dworskie były chronione od kradzieży, bez pobieranej przez koniokradów opłaty <za końskie zdrowie>. Mimo to, babce mojej, gdy pojechała do stryja, do Sujet, skradziono parę koni. Wróciwszy do Pojościa, wezwała Kałakutasa. Ten dał <słowo honoru>, że Sujety były poza jego okręgiem – ale że tamten koniokrad powinien był wiedzieć, czyje konie uprowadza; obiecał „zrobić porządek”. Jakoż po kilku dniach, rankiem, oba skradzione konie pasły się na trawniku przed stajnią i nawet uprzęż znaleziono tuż obok, w worze. Był to je-den z objawów stosunku Sokołowów i Dołgowów do pojoskiego dworu. Przez parę wieków poczuli się do wdzięczności za udzielony im niegdyś azyl. Nie kłusowali*

w pojoskich lasach, nie kradli w nich drzewa, uprawiając tę działalność w sąsiadujących z nimi lasach rządowych i Kurpiowskich (majątek rodu Karpiów, spokrewnionych z Meysztowiczami – przyp. SP). Nie robili też na dwór donosów – co było rzeczą ważną i może decydującą o losach panów w okresie powstania. Byli, mimo swego pochodzenia, stanowczo wrogo usposobieni do Rosji. Ale zachowali mowę wielko-rosyjską moskiewską, i z litewską ludnością się nie mieszała. Litwini, katolicy, nie wydawali za nich córek ani ich córek za żony nie brali. Przetrwała ta wyspa uchodźców spod moskiewskiej tyranii do 1914 roku. Późniejszych jej losów nie znam¹⁶.

Przytoczona relacja dowodzi swoistego systemu wartości (dualizm etyczny), który w miarę precyzyjnie opisał ukraiński badacz starowieria Siergiej Wasiljewicz Taraniec: *Dla chłopów – starowierów hańbą nie było oszukać urzędnika lub obszarnika, ale wprowadzić w błąd współwyznawcę było wielkim grzechem, szczególnie w tych przypadkach, kiedy współplemieniec lub sąsiad wpadł w biedę (...) Obrona starej pobożności spowodowała narodzenie się „nowego ducha”, wyrażającego się w „wolnym życiu”, wierze w siebie i przedsiębiorczości. Głęboka religijność, oddanie się wierze, upór w osiągnięciu podstawowych celów, pomoc wzajemna, kolektywizm i wspieranie się nawzajem odróżniały chłopów starowierów od otoczenia*¹⁷.

Ich wygląd i surowość obyczajów, także izolowanie się otoczenia, połączone z niezbyt pozytywnymi, a zarazem niezbyt sprawiedliwymi relacjami etnograficznymi Oskara Kolberga (1814-1890) i Gustawa Manteuffela (1832-1916), zrodziły mroczny ich stereotyp, krążący wśród Polaków z Kresów aż do połowy XX wieku. Romuald Kromplewski, opisujący ucieczkę w 1942 r. z Prużan do Słonimia na Białorusi, naszkicował taki oto obraz: *Drugiego dnia musieliśmy przebyć kilkadziesiąt kilometrów puszczy. W jej środku, po lewej stronie drogi, stały chata i stodoła. Przed chatą kilka brodatych mężczyzn popijało gorzałkę. Z oczu źle im patrzyło. Mama określiła ich mianem starowierzy. Teraz wiem, że starowierzy to raczej ludzie dobrzy, a tu może raczej trzeba by powiedzieć zbóje*¹⁸.

Dopiero druga połowa XX wieku, charakteryzująca się wzrostem wiedzy ogólnej, w tym wynikłej z peregrynacji, zweryfikowała ten stereotyp. Piszący typowe peregrynacyjne wiersze Mirosław Ślapik, w formie lirycznych reportaży-obrazków, tylko z puentą, przywiózł z Zabajkala, a konkretnie z Buriatki, wiersz p.t. *Tarbagataj* (2012)¹⁹. Były dwie poetyczne inspiracje tegoż utworu: nazwa miejscowości - jak *odgłos werbla*, oraz nabożeństwo

¹⁶ Waldemar Meysztowicz, *Gawędy o czasach i ludziach*, Londyn 1993, Polska Fundacja Kulturalna, s. 112-113.

¹⁷ Siergiej Wasiljewicz Taraniec, *Staroobriadczestwo w rossijskoj imperii (koniec XVII-naczalo XX wieku)*, Kijów 2012, Nacjonalnaja Akademija Nauk Ukrainy, s. 218-219.

¹⁸ Romuald Kromplewski, *Wspomnienia z wojny* (2); „Świat Inflant” 2011, nr 8, s. 7-8.

¹⁹ Mirosław Ślapik, *Odległość*, Olsztyn 2012, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, s. 112.

w chramie (świątyni) Rosyjskiej Staroprawosławnej Cerkwi (Russkaja Driewleprawosławnaia Cerkow) pw. Podwyższenia Krzyża (Wizdwiżenija Żywotworiaszczago Kriesta Gospodnia). Poeta opisuje *śnieżnobiałą cerkiew*, wybu-



Chram p.w. Podwyższenia Krzyża Rosyjskiej Prawosławnej Cerkwi w Tarbagataj w Buriatii. Fot. Mirosław Ślapik.

dowaną w 2002 r. (poświęcenia dokonał 28 września 2002 r. patriarcha moskiewski i całej Rusi Aleksander) w staroruskim, historyzującym stylu we wsi Tarbagataj, należącej do Diecezji Sybirskiej RSC, której ordynariuszem jest wyświęcony w 2005 r. biskup Siergij (Popkow, rocznik 1974). *Sześć babinek w chustkach* uczestniczyło w nabożeństwie odprawianym przez księdza Siergija Nikołajewicza Palija, wyświęconego 25 czerwca 2000 r. na miejscowego ustawszczyka.

Jest to parafia nowa, lecz z dawnymi tradycjami, sięgającymi wywózek starowierów, za rozkazu carycy Katarzyny II, z Wietki na terenie Rzeczypospolitej, ale też z innych naszych krain. Potomkowie tych wysiedleńców po dziś dzień nazywają się z tego powodu *paliakami*. Nigdy nie odstąpili oni od swojej wiary. Sowietci zniszczyli im wszystkie cerkwie, czasownie i molenny (w 1922 r. było tych chramów 81, a do 1942 r. żadnego)²⁰. Dopiero teraz, konstruujący z wielkim rozmachem i niezwykłą konsekwencją Rosyjską Staroprawosławną Cerkiew, groteskowy co nieco patriarcha Aleksander (Awdiej Diamidowicz Kalinin), spowodował budowę nowego chramu (środku na budowę zebrał chór *Sudbinuszka* podczas koncertów w Niemczech), włączając wspomnianą wspólnotę do swojej kościelnej organizacji²¹. Władze autono-

²⁰ Firs Fiedorowicz Boniew, *Staroobriadcy Zabajkalia w XVII-XX w.w.*, Moskwa 2004, IPC „Dik”, s. 273.

²¹ Stefan Pastuszewski, *Ortodoksja w ortodoksji*; „Świat Inflant” 2012, nr 11, s. 5-11.

micznej republiki Buriatii sprzyjają temu kościołowi. Prezydent republiki w 2002 r. stwierdził, z przesadą i bez wątpienia nieteologicznie, że *im częściej odwiedzać nas będzie świątobliwy Patriarcha, tym więcej Bożej łaski będzie w buriackim regionie*²².

Unikalna kultura starowierów Zabajkala (*paliaki i siemiejskije*) została w czerwcu 2001 r. wpisana przez UNESCO na listę skarbów duchowego i niematerialnego dorobku ludzkości. Przesiedlenie ich z białoruskich i ukraińskich regionów Rzeczypospolitej (obecnie obwody: Czernihowski, Winnicki i Żytomierski) miało kilka etapów. W 1756 r. pod konwojem przetransportowano ich do Irkucka, a w 1757 r. przewieziono w Zabajkale, osadzając wzdłuż dopływów rzeki Sielengi: Uda, Czykoj, Chiłok, Suchora, Tunguj i Kujtun. Obecnie stanowią oni 30 procent ludności Buriatii, a nazwy niektórych wsi w rejonie Tarbagataj są podobne do nazw wsi w obwodzie Winnickim na Ukrainie.

Mirosław Słapik

Tarbagataj

nazwa jak odgłos werbla

choć w miasteczku

cicho

na drodze ni żywej duszy

tylko

okna gapią się w upalny sen

spod swoich drewnianych powiek

a i błękit

bezgłośnie przywłaszczył

śnieżnobiałą cerkiew

sześć babinek w chustkach

słucha batiuszki Palieja

jak to raskolniki

żegnają się dwoma

palcami

bo o ten jeden palec

są bliżej Boga

²² „Drewleprawosławnyj Kalendar” 2003, s. 126.

Z tą interesującą puentą można dyskutować, lub nie. Rzeczywiście, staroprawosławni, jak wszyscy fundamentalistyczni chrześcijanie, stoją na gruncie jedynobawczym, czyli uważają, że zbawienie dostępne jest tylko im samym. Warunkiem tego jest nie tylko wiara, jak u Marcina Lutera, ale też rygorystyczne przestrzeganie Prawa Bożego, w tym wszystkich rytuałów, m.in. dwupalcowego złożenia dłoni do znaku krzyża. *Sobór Stogławy* z 1551 r. uznał bowiem obrzędy za teologiczną wykładnię dogmatów chrześcijańskich. Choć orzeczenie to zostało zniesione przez *Wielki Sobór Moskiewski* (w 1667 r.), to jednak starowierzy na to nie przystali.

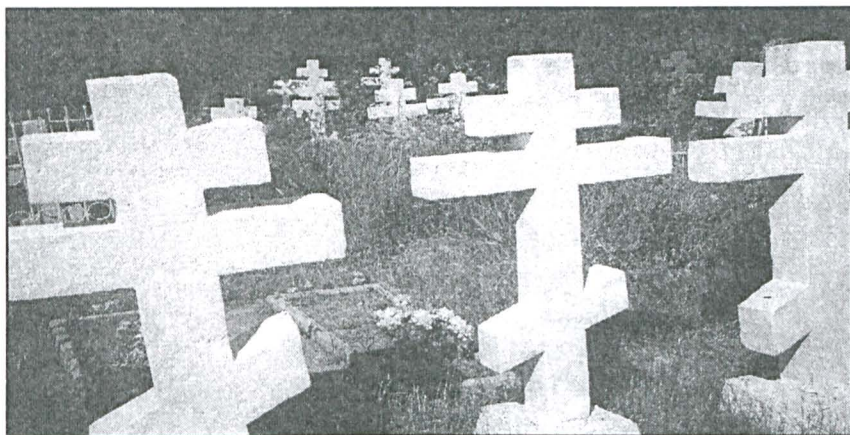
Równie *krajoznawczo* potraktowała starowierów polskich, a konkretnie podaugustowskich, Irena Batura. Widoczne jest to w jej wierszu *Drogi* (2009)²³:

*Dalej droga biegła przez Komaszówkę Twardy Róg
bo Bór i Gabowe Grądy zasiedlili starowiercy
po następnym powstaniu.*

Ów głęboko osadzony w historii regionu wiersz opisuje drogi wychodzące z Huty Sztabińskiej, co miało miejsce za czasów Karola Hrabiego Brzostowskiego (*Rzeczypospolita Sztabińska*). Każda droga pełniła inną rolę. Trafną, jeśli idzie o faktografię, jest informacja o ominięciu przez publiczną drogę starowierskich siedlisk, jako że oni jeszcze do niedawna uciekali w ostępy przed Antychrystem, *który zagnieździł się w świecie*. A ponadto, niechętnie przyjmowali przybyszów, co wcale nie znaczyło, że ostatecznie nie byli po chrześcijańsku i słowiańsku gościnni. Ilekroć z jednym z *Braci Inflanckich* poszukiwałem starowierskich osad na Ukrainie, w Mołdawii i Rumunii, co wcale nie było takie proste, z uwagi na notoryczne nieoznakowanie szlaków w tym regionie Europy, to ów żartowniś, gdy nawierzchnia się psuła lub droga po prostu urywała na bezdrożach, wołał: – *Teraz to już naprawdę dobrze jedziemy*.

Jeśli idzie o zasygnalizowane w wierszu *następne powstanie*, to mowa tu o Powstaniu Styczniowym, po którym starowierzy intensywnie zasiedlali te ziemie, stając się mimowolnie, wbrew swej woli oczywiście, czynnikiem rusyfikacyjnym region. Przenieśli się po 1865 r. do Garbowych Grądów i Boru z Pilczyna (gmina Łaskarzew, na wschód od Warszawy), w związku z wrogością polskiego otoczenia po Powstaniu Styczniowym, w którym odegrali jednak niechlubną rolę. Ich współwyznawcy z północnej części Augustowskiego (Pijawne Ruskie, Cisówek, Podkrólówek) pojawili się znacznie wcześniej, bo w ostatnim trzydziestoleciu XVIII wieku. Nieco później zasiedlili Szczębrę i Bliznę.

²³ Irena Batura, *Drogi*; [w:] tejsze, *Odmierzam przestrzeń i czas*, Kraków 2009, Wydawnictwo Buchers Design, s. 67-69.



Cmentarz starowierski w Pokrowce (Moldawia). Fot. Stefan Pastuszewski.

Poetycką próbę uchwycenia istoty starowierstwa podjął Wojciech Kawiński w wierszach: *Droga (starowierzy)* i *Stary świat starowierów* (2013)²⁴. W pierwszym z utworów, poprzez tytuł ale i częściowo treść (*pełne oczekiwania twarze*), nawiązujący do K. Iłakowiczówny, buduje on kosmiczną czasoprzestrzeń eschatologiczną (*płonący wzrok, czyny niespisane, surowa krzątania sfer, śnieg słoneczny, w rzece czarny kamień*), zwracając uwagę na



Cerkiew białokrynicka pw. Opieki Bogurodzicy w Tyraspolu (ul. Róży Luksemburg 6) (Naddniestrze) Fot. Stefan Pastuszewski

²⁴ Wojciech Kawiński, *Droga (starowierzy)*; *Stary świat starowierów*; „Świat Inflant” 2013, nr 4, s. 3.

życie jako wędrówkę (por. wiersz I. Batury). Drugi, będąc jakby jego kontynuacją, zapowiada apokalipsę, zniszczenie świata, *bo tak go zaplanowano i stworzono*. Medium niszczącym jest ogień, co jest swoistym nawiązaniem do *gari*, w których płonęli pierwsi starowierzy, dokonując także samospaleń.

Wojciech Kawiński

Droga /starowiery/

Nasz potrójny

Krzyż

Który dźwigamy

W wymarłej pamięci

Niech się święci

W przestrzeni tak

Złudnej

Że niewidzialnie zetleje

Bo takie są

Jej dzieje:

Pan na wysokościach

Widzenia - cierpienia - przebaczenia

Obraz

W lasach instynktów w puszczach

Zdarzeń

Nasze

Pełne oczekiwania twarze:

A Boża Chwała

Najwyższej

Ody staro-wierne milczenie

Pragnie

Pokornych przybliżeń

Awwakum Pietrowicz patrzy w bezden

płonącym wzrokiem

Jego czyny nie-spisane

Jego miejsce - rozsypany popiół:

Surowa krzątanina sfer

Śnieg słoneczny

Dar odwieczny

W rzece czarny kamień

Cyrylicą wyryte pożegnanie

Wojciech Kawiński

Stary świat starowierów

*Módl się
w pokorze
bo świat
jego zmierzch i świt
to zaledwie
Boga sworzeń*

*który musi
nawet na mitycznej Rusi
poza nami splotnąć
bo tak go
zaplanowano
i stworzono*

*na podobieństwo
asymetrycznych czynów
nadrealnych prób
topornych wróżb
oraz lądowych i napowietrznych wód
nie przestających płynąć*

*także w słonecznej próżni
jak i w księżycowej dolinie*

Symbolicznie, jako uogólnienie postawy zapatrzenia się w minione czasy (*nie dlatego, że należał on do sekty religijnej o tej nazwie, tylko dlatego, że był zwolennikiem czasów carskich*), Czesław Kuriata traktuje swego bohatera (*Starowierca*) w powieści *Zorze archangielskie* (2004). Utwór ten powstał na podstawie relacji kilkunastu polskich skazańców z północnych łagrów w ZSRR, w których prawdopodobnie wspominano autentycznych starowierców. W rozdziale *Spór Pawki Korczagina ze Starowiercem o chleb nasz powszedni*²⁵ opisana jest gra polemiczna, często prowadzona dla rozbawienia łagrowej publiczności, którą można potraktować jako dalekie echo dysput publicznych między naczeczykami staroprawosławnymi a misjonarzami Cerkwi panującej (w pierwszym dwudziestoleciu XX wieku). Trudno przypuszczać, aby powieściopisarz aż tak dobrze znał ukryte jeszcze dzieje staroprawosławia i alegorycznie nawiązywał do tego faktu. Trzeba jednak wiedzieć, że wybitny naczec-

²⁵ Czesław Kuriata, *Zorze archangielskie*, Koszalin 2004, Wydawnictwo „Polimer”, s. 62-66.

tczyk białokrynicki Fiedor Jewfimowicz Mielnikow (1874-1960) toczył w pierwszym, jakby bardziej demokratycznym okresie władzy radzieckiej, publiczne dysputy z działaczami komunistycznymi i ateistycznymi zarazem: N. I. Bucharinem, I. W. Łunaczarskim, L. D. Trockim. Między innymi z tego powodu musiał się potem ukrywać na Kaukazie, w końcu uciec z ZSRR. Ostatni etap swego życia spędził w Rumunii. *Starowielec* przytacza opowieść o wypiekanii przez katorżników chleba, co miało miejsce w czasach carskich, w twierdzy archangielskiej. Ten chleb był najsmaczniejszy, *jakiego nie było na całej północy, a może i w całej Rosji* (s. 65), i to w takich ilościach, że karmiono nim psy. – *A teraz wydzielają tobie na wagę, choć to chleb na wół z owsem* (s. 65).

Więzień z ksywą *Pawka Korczagin*, przyjętą na cześć dzielnego komсомolca (znany z tego, że donosił na swego ojca, jako wroga ludu), krzyknął: – *I ty, prawosławny, pochwalasz karmienie sobak błogosławionym ludzkim chlebem!* (s. 65). Głodni więźniowie oburzyli się. I choć pojedynek ten wygrał komсомолец, to jednak *większą sympatią wśród skazańców cieszy się Starowielec, szczególnie u skazańców religijnych, a przynajmniej wierzących* (s. 66). Spór drugi (s. 124-129), o cara i jego system więzienny, także wygrał komсомолец. Nasunęło to jednak narratorowi podejrzenie, że *spektakle te były inspirowane i kontrolowane przez propagandzistów łagrowych* (s. 129).

Daleka od starowerskiej rzeczywistości, choć na swój sposób wyrażająca z jej mistyki, jest powieść Olgi Tokarczuk p.t. *Bieguni* (2007). Autorka nawiązuje do generalnej idei starowerskiego sogłasia stranników (biegunów) – *ucieczki przed złem, poprzez ciągłą podróż*. Usiłuje sportretować *współczesnych biegunów*, oczywiście nie motywowanych religijnie, tylko próbujących ratować się *przed kakofonią, chaosem, rozpadem i tworzeniem się nowych konfiguracji we współczesnym świecie. Jak wielu jest ich wśród nas* – pisze. W pewnym sensie ta wędrówka-ucieczka nawiązuje do starowerskiej obrony przed *zmirszczeniem się*. Wędrówkę zaczyna od swych dziecięcych podróży na wał, a rozwija, bo przecież nie kończy, *gdyż wszystko jest dziś wędrówką*, przedstawiając różne warianty transkontynentalnych lotów, także podróży-ucieczek w... imaginacji lub na papierze. W pewnym momencie zbliża się jednak do autentycznego stranniczenia, prezentując wielki billboard na moskiewskim lotnisku: *Mobilnost' stanovitsia realnostiu*²⁶. Od tego momentu rozpoczyna się opowieść o moskiewskich biegunach (s. 156-294), a raczej dwóch biegunkach. Jedna to Galina, biegunka autentyczna (*Sekciarzy tu nie chcemy* – mówią milicjanci, s. 294), a druga, Annuszka, która ucieka przez złym losem (nieuleczalnie chory syn Pietia i nieczuły jak kłoda drewna mąż), jeżdżąc cały dzień moskiewskim metrem, gdzie spotyka podobnych sobie ludzi. *Pierwszy pociąg jest jeszcze pu-sty. Potem na każdej kolejnej stacji do-siada się coraz więcej ludzi, aż w końcu tłok jest tak wielki, że Annusz-*

²⁶ Olga Tokarczuk, *Bieguni*, Kraków 2007, Wydawnictwo Literackie, s. 256.

ka stoi wciśnięta między plecy jakichś olbrzymów. Ponieważ nie może dosięgnąć uchwytu, skazana jest na to, że te anonimowe ciała ją podtrzymują. Potem na-gle cizba się przerzedza, na następnej stacji robi się już pusto. Zostaje zaledwie kilka osób. I Annuszka uczy się, że niektórzy ludzie nie wysiadają na końcowych stacjach. Ona sama wysiada i zmienia pociąg. Ale widzi takich przez szyby, znajdują sobie miejsca na końcu wagonu i ustawiają przy nogach swoje reklamówki albo plecaki, zwykle parciane, stare. Drzemią z przymkniętymi oczami albo odwijają z papierów jakieś jedzenie i, żegnając się kilka razy i mamrocząc, z namaszczeniem żują (s. 275). Ich aktywność, ruch, zdają się realizo-

wać ideologię starnniczestwa dziś. W sposób bardzo precyzyjny opowiada to O. Tokarczuk ustami zakutanej biegunki, czyli Galiny. Jest ona tak interesująca i współgrająca z rozchwianą współczesnością, że warto przytoczyć w całości:



Co mówiła zakutana biegunka

Kiwaj się, ruszaj się, ruszaj. Tylko tak mu umkniesz. Ten, kto rządzi światem, nie ma władzy nad ruchem i wie, że nasze ciało w ruchu jest święte, tylko wtedy mu uciekasz, kiedy się poruszasz. On zaś sprawuje rządy nad tym, co nieruchome i zmartwiałe, nad tym, co bezwolne i bezwładne.

Więc ruszaj się, kiwaj, kołysz, idź, biegnij, uciekaj, gdy tylko się zapomnisz i staniesz, pochwycą cię jego wielkie ręce, zamienią cię w kukielkę, owieje cię jego oddech, cuchnący dymem i spalinami, i wielkimi śmietniskami za miastem. On zamieni twoją barwną duszę w małą płaską duszyczkę, wyciętą z papieru, z gazety, i będzie ci groził ogniem, chorobą i wojną, będzie cię straszył, aż stracisz spokój i przestaniesz spać. Oznaczy cię i wpisze w swoje rejestry, da ci dokument tego upadku. Zajmie ci myśli nieważnymi rzeczami, co kupić, a co sprzedać, gdzie taniej, a gdzie drożej. Będziesz się odtąd martwić drobiazgami – ceną benzyny i jak ona wpłynie na spłatę kredytu. Będziesz przeżywać każdy dzień boleśnie, jakbyś żyła za karę, lecz kto popełnił zbrodnię i jaką, i kiedy, nie dowiesz się nigdy.

Kiedyś, dawno temu, car próbował zreformować świat, ale poniósł klęskę i świat wpadł prosto w objęcia antychrysta. Bóg, ten prawdziwy, ten do-

bry, został ze świata wygnany, naczynia z boską mocą zostały rozbite, a ona wsiąkła w ziemię i zniknęła w głębinach. Lecz gdy przemawiał szeptem ze swojego ukrycia, usłyszał go pewien sprawiedliwy człowiek, żołnierz o imieniu Eufemiusz, i zapisał sobie te słowa w umyśle. W nocy odrzucił precz karabin, zdjął mundur, odwinął onuce i zsunął buty. Stanął pod niebem nagi, jak go Pan Bóg stworzył, a potem zbiegł w lasy i przyodziawszy wierzchnie okrycie, wędrował od wioski do wioski, głosząc tę mroczną nowinę. Uciekajcie, ruszajcie z domów, idźcie, bieguni, bo tylko w ten sposób można się ustrzec przed pułapkami antychrysta. Jakakolwiek otwarta z nim walka będzie z góry przegrana. Zostawcie to, co posiadacie, porzućcie ziemię i ruszajcie w drogę. Bo wszystko, co ma swoje stałe miejsce w tym świecie, każde państwo, kościół, rząd ludzki, wszystko, co zachowało formę w tym piekle, jest na jego usługach.

Wszystko, co określone, co odtąd-dotąd, co ujęte w rubryki, zapisane w rejestrach, ponumerowane, zewidencjonowane, zaprzysiężone; wszystko, co zgromadzone, wystawione na widok, zaetykietowane. Wszystko, co zatrzymuje: domy, fotele, łóżka, rodziny, ziemia, sianie, sadzenie, dogłądanie jak rośnie. Planowanie, czekanie na rezultaty, wykreślanie rozkładów, pilnowanie porządków. Dlatego odchowaj swoje dzieci, skoro je już nieopatrznie urodziłaś, i ruszaj w drogę; pochowaj rodziców, skoro już niebacznie powołali cię do istnienia – i idź. Wynieś się daleko, poza zasięg jego oddechu, poza jego kable i przewody, anteny i fale, niech cię nie namierzają jego czułe instrumenty.

Kto się zatrzyma – skamienieje, kto przystanie, zostanie przyszpilony jak owad, jego serce przebijie drewniana igła, jego ręce i stopy będą przedziurawione i przybite do progu i powały. Tak właśnie zginął ten, który się zbuntował. Został pojmany, a jego ciało przybito do krzyża, unieruchomiono jak owada, na pokaz dla oczu ludzkich i nieludzkich, ale zwłaszcza dla nieludzkich, te bowiem najbardziej lubują się w każdym przedstawieniu; nie dziwota, że je odtwarzają co roku i celebrują, modląc się do martwego ciała.

To dlatego tyrani wszelkiej maści, piekielni słudzy, mają we krwi nienawiść do nomadów – to dlatego prześladują Cyganów i Żydów, to dlatego przymusowo osiedlają wszystkich wolnych ludzi, naznaczają adresem, który dla nas jest wyrokiem. Chodzi im o zbudowanie zastygłego porządku, o uczynienie upływu czasu pozornym. O to, żeby dni stały się powtarzalne i nie do odróżnienia, o zbudowanie wielkiej maszyny, w której każde stworzenie będzie musiało zająć swoje miejsce i wykonywać pozorne ruchy. Instytucje i biura, pieczątki, okólniki, hierarchia i szarże, stopnie, podania i odmowy, paszporty, numery, karty, wyniki wyborów, promocje i zbieranie punktów, kolekcjonowanie, wymienianie jednych rzeczy na drugie.

Przyszpilić świat za pomocą kodów kreskowych, każdej rzeczy dać etykietę, niech będzie wiadomo, co to za towar i ile kosztuje. Niech ten obcy język będzie nieczytelny dla ludzi, niech go czytają maszyny i automaty, niech no-

cami w wielkich podziemnych sklepach robią sobie odczyty własnej kreskowej poezji. Ruszaj się, ruszaj. Błogosławiony, który idzie”.(s. 291-294).

W odróżnieniu od tych dwóch utworów prozatorskich, których autorzy porzucali na płaszczyźnie filozoficzno-symbolicznej, co nieco nawet hasłowej, opowiadanie *nieustrudzonego tropiciela ciekawostek z lamusa* - Andrzeja Pilipiuka (*Ostatni biskup*)(2011)²⁷, jest próbą wniknięcia w starowierskie realia. Niezbyt udana to próba, nie tylko ze względu na szereg błędów merytorycznych, ale i z uwagi na nieuzasadnioną ekspozycję niezwykłości. Wprawdzie utwór należy do gatunku *historical fantasy*, czy *historii alternatywnej*, jednak podejmowane w tym gatunku zbliżanie się do faktów wymaga większego dla nich szacunku. Akcja opowiadania toczy się w 1902 r. na Syberii. Polski lekarz Paweł Skórzewski, zapewne zesłaniec, pracuje w ambulatorium kolejowym na stacji Barchatowsk, przy trasie tranzytowej Moskwa-Irkutsk. Obsługuje nie tyle miejscową ludność, co podróżnych, którym w drodze coś się przydarzyło. Pewnego dnia przywożą umierającego od postrzału starowiera Ławrientija - *opieczętowanego wielką pieczęcią*, czyli wykastrowanego. Był to mnich z klasztoru o surowej regule, którego mnisi, czując, że nie są w stanie opanować żądz cielesnych, poddawali się takim zabiegom. Chory przed śmiercią powierzył lekarzowi ukrytą w ładance, woreczku na kadzidło, relikwię świętego sołowieckiego Epifania. Była to jego z mumifikowaną dłoń, którą wykradł z moskiewskiego Kremla. Podczas pościgu został postrzelony. Dłoń odrąbano świętobliwemu inokowi dlatego, że chciał nawrócić cara, a dochrapał się egzekucji na Placu Czerwonym. Umierający Ławrientij, notabene pochodzący z pobliskiej starowierskiej wsi Werszyny, zobowiązał lekarza do dostarczenia relikwii do ukrytego przed ludzkim okiem klasztoru, w którym żyło prawowierne duchowieństwo, z prawowiernym biskupem na czele. Był to klasztor Kiżlak (nazwa nawiązująca do legendarnego grodu Kiteż), w którym według starowierów zachowała się prawdziwa wiara. Ławrientij zostawił mapę, w formie nanizanych na rzemień drewnianek z hieroglifami, oznaczającymi punkty topograficzne (osady, rzeka, góry). Takimi właśnie mapami posługiwali się starowierscy bieguni przemierzający się od schronienia do schronienia. Polski lekarz, wraz z miejscowym rosyjskim regionalistą Dymitrem Marczem, posługując się tą mapą, dotarli do klasztoru. Na pierwszy rzut oka okazał się on atrapą, aby zmylić nieproszonych gości. Kiedy jednak położył relikwię na ołtarzu, zrujnowana świątynia ożyła: *Wyszli na dziedziniec. Mnichów było grubo ponad trzydziestu. Większość dzierżyła długie kije, kilku celowało w intruzów z archaicznych skałkowych flint. Monastyr też wyglądał inaczej. Mury były znacznie wyższe i sprawiały wrażenie o wiele solidniej-*

²⁷ Andrzej Pilipiuk, *Ostatni biskup*, [w:] tegoż, *Aparatus*, Lublin 2011, Wydawnictwo Fabryka Słów, s.59-107.

szych. Nad kominami unosił się dym. Dachy pokrywał nie gont, a płytki łupku. Pomiedzy zakonnikami stał odziany na bialo męzczyzna mitrze na glowie. Przez chwile przygladal im sie w milczeniu, a potem uderzył pastorałem w bruk dziedzińca. Zapadła ciemność. (s. 104).

W tym momencie autorowi jakby zabrakło konceptu, bowiem poszukiwacze obudzili się w środku tajgi, następnie pobłądzili, gdyż Dymitr zgubił *mapę na drewienkach*, a Pawłowi na którymś z postojów relikwia wypadła z plecaka. W końcu zatrzymali pociąg towarowy i za pięć (błękitnych) rubli wrócili do domu. Niemniej, lekarz *nie mógł się pozbyć natrętnego wrażenia, jakby zapomniał o czymś bardzo ważnym* (s. 107). Opowiadanie w niezłym stylu przedstawia istotę starowierca, zmierzającego ku nieskażonemu prawosławiu, a także takie okółoreligijne zwyczaje, jak grzebanie zmarłych owiniętych w całun (sawan) - wprost w ziemi, a także pozostawianie na nagrobkach pustych trumien – domowin.

Mało znana jest informacja, że niektórzy starowierzy uważają, iż *woda która płynie poprzez metal jest zła* (s. 70), w związku z czym nie korzystają z wodociągów oraz metalowych naczyń (m.in. do przygotowania posiłków). Ów zakaz bierze się od gwoździ, którymi przybito Chrystusa do krzyża, a także od ostrza spisy (kopije), którą przebito bok Zbawiciela. Interesujący jest opis podziemnych kaplic (czasowni), w których pozostawia się zniszczone ikony, ale na Boga! Nie wiszą tam one ścianach (s. 93), gdyż obrazów świętych nie wolno wieszać tak jak Chrystusa na krzyżu. Stoją one na półkach (tiabołach). Zgromadzeni wokół ciała zmarłego żałobnicy nie nucą psalmów (s. 76), tylko je śpiewają, nawet gdyby to brzmiało mamrotliwie. Nie każdy chram jest soborem (s. 92), jedynie ten, w którym nabożeństwa odprawia kilku kapłanów (kolegialnie, sobór to odpowiednik katolickiej kolegiaty). Najwięcej błędów popełnił A. Pilipiuk w sferze doktrynalno-eklezjalnej. W prawosławiu nie ma terminu *mszału*, (s. 80), tak jak nie ma terminu *Msza Święta*. Odpowiada mu *Liturgia*. Bezpowsy nie szanują tylko jeden sakrament – Chrzest (s. 83, 85), ale również Sakrament Pokuty. Wspólnoty bezpowskie *nie wybierają sobie kapłanów ze swego zgromadzenia* (s. 84), tylko nastawników, którzy nie są wcale duchownymi.

W opowiadaniu pojawiły się też błędy historyczne. W 1653 r. nie było w Moskwie żadnego Synodu (s. 81), a jedynie patriarcha Nikon ogłosił jednoosobowo liczbę pokłonów przy odmawianiu modlitwy postnej Efrema Syryjczyka oraz zalecił trzypalcowe złożenie dłoni do znaku krzyża. Klasztor Solowiecki nie był oblegany przez dwadzieścia lat (s. 82), tylko przez osiem (1668-1676). Przeciwnikiem reform nikono-aleksiejewskich nie był biskup Kołomy Pawieł (s. 82), tylko Kołomny. Był to jedyny biskup, który konsekwentnie, aż do męczeństwa, sprzeciwiał się reformie, a nie, jak pisze A. Filiipiuk, że było ich wielu (s. 82). *Isprawa knig* nie podlegała wcale na *ponownym przekładzie wszystkich pism* (sic!) liturgicznych pochodzących z Bizan-

cjum (s. 80), tylko na korygowaniu ksiąg staroruskich. Zapewne błędem korektorskim jest słowo *staroobiediec* (s. 85). Chodziło tu bez wątpienia o *starobriadca*.

Można przypuszczać, że pewien wpływ na obecność staroprawosławia we współczesnej polskiej literaturze pięknej mają reportaże literackie Mariusza Wilka z północnych, nasyconych przecież starowierstwem, wręcz będących ojczyzną bezpopowszczyzny, regionów Rosji. Szczególną rolę odegrał *Wilczy notes* (1998)²⁸. Autor celnie dostrzegł źródło starowierstwa bezpopowskiego, głównie pomorianizm, w religijnie umotywowanych prawo-sławnych ideach *soborności* (wspólnoty) i *posłuszanija* (posłuszeństwa), *szerzonych nie tylko w dobrach monasterskich, których wszędzie tu było pełno, ale i w skitach staroobrzędowych, których było jeszcze więcej* (s. 217). Idee te pomogły Pomorzanom przetrwać w surowych warunkach Północy, bowiem pojedynczy człowiek nie miałby tam szans na przeżycie. Przymus egzystencjalny wyostrzył i wzmocnił duchowość chrześcijańskiego kolektywizmu i równości. Nauczył praktykowania wiary bez kapłanów, co na Pomorzu miało miejsce jeszcze przed raskołem. Dowodem tego jest *starczeskoje pokajanie*, czyli spowiedź przed starszym współwyznawcą (starikiem) w sytuacji zagrożenia życia. M. Wilk przesadza nieco w swym entuzjazmie dla starowieria na Północy, pisząc dezinformacyjnie, że *to tutaj, w skicie na Anzerze [jedna z Wysp Solowieckich – przyp. SP], wykuł się raskoł ruskiej Cerkwi prawosławnej, czyli miało początek wydarzenie, o którym Solżenicyn pisze, że było bardziej brzemienne w skutki dla Rosji niż rewolucja bolszewicka* (s. 15). Twierdzi, że tylko w skitach staroobrzędowych można usłyszeć o *Matuszce-Rosji* (s. 13). Ow entuzjizm dla starowieria przenosi się na jego bohaterów, bowiem Mołdawianin Zosima wytwarza na Solówkach krzyże według *staro-obrzędowych wzorów*, choć nie ma o nich żadnego pojęcia (s. 24). Wydaje się, że M. Wilk wyraźnie wzmocnił mitologię starowierską w literaturze i świadomości polskiej, przy okazji ją odrealniając.

Odrębnym w zasadzie tematem jest problematyka polskiej twórczości translatorskiej, zarówno utworów pisarzy staroobrzędowych, jak i twórców rosyjskiej literatury pięknej, eseistów oraz publicystów fascynujących się starowieriem, głównie w drugiej połowie XIX wieku. Pierwszą grupę reprezentują krytyczne - często opracowane naukowo - przekłady Wiktora Jakubowskiego, Ryszarda Łuźnego i Eugenii Siemaszkiewicz. Nie wykraczają one jednak poza swoisty *kanon* kształtowany od połowy XIX wieku przez rosyjskich *raskołowiedów*, a wykorzystywany później przez wielkich klasyków literatury rosyjskiej. Tworzenie owego *kanonu* rozpoczął N. S. Tichonranow, publikując w 1861 r. pełny tekst *Żywota protopopa Awwakuma przez niego*

²⁸ Mariusz Wilk, *Wilczy notes*, Gdańsk 1998, Wydawnictwo Słowo /Obraz Terytoria.

samego nakreślony. Publikacja i analiza tych tekstów została w Polsce jakby przesunięta o prawie sto lat, bowiem zaczęła się od ogłoszonego w 1972 roku przez Wiktora Jakubowskiego (1896-1973) przekładu *Żywota protopopa Awwakuma przez niego samego nakreślonego*. Spolszczone listy Awwakuma, oraz inne utwory z pierwszego okresu starowierca, ogłosił w 1980 r. Ryszard Łużny (1927-1998). Ten sam badacz opublikował w 1985 r. *Legendę o niewidzialnym grodzie Kitieżu*, której udoskonaloną wersję, jako *Opowieść o niewidzialnym grodzie Kitieżu*, wydał w 1988 r.

Opowieść symbolizuje zasadnicze przesłanie ideowe całego uniwiersum legendy staroruskiej. Tu warto wyjaśnić, że utwór ten wyróżnia się na tle gatunku legendy i podania rosyjskiego w sposób szczególny, zarówno swoją genezą i historią, jak i walorami poznawczymi oraz artystycznymi. Przełożona przez R. Łużnego wersja legendy, nosząca tytuł *Księga latopisem zwana* ..., jest tylko jedną z kilku, najobszerniejszą i najbardziej rozbudowaną redakcją podania o *niewidzialnym grodzie*, stosunkowo późną piśmienniczą kompilacją wcześniejszych przekazów ustnych. Jej synkretyczny charakter i skomplikowany proces kształtowania się w ciągu wieków (redakcja zapisana i zbadała została dopiero w naszym stuleciu; ujawnia etap osiemnastowieczny dziejów zabytku) uwidacznia się w znamiennej hybrydowości opowieści. Ludowe źródła pomysłów treściowo-fabularnych splatają się z *literackością* ostatecznej obróbki piśmienniczej, a elementy typowe dla relacji kronikarsko-latopisarskiej łączą się z tradycją żywotopisarstwa kościelnego, reliktnami starej, przedchrześcijańskiej formacji wierzeniowo-obrzędowej – z głęboką prawosławną religijnością; prawowierność zaś religijna – z ideologią *starego obrzędu* oraz jego sekciarskimi odgałęzieniami.

Jak każdy utwór ludowej epiki, opowieść powstała na kanwie faktów dziejowych, rozgrywających się na określonym obszarze, i działających konkretnych postaci historycznych; one to właśnie stają się z kolei punktem wyjścia legendowej materii narracyjno-fabularnej. Treściowo legenda wiąże się z terenami położonymi nad środkową Wołgą (powiat makariewski Guberni Niżegorodzkiej), które stanowiły matecznik rosyjskiej kultury ludowej, gdzie w sposób przedziwny splatały się relikty formacji przedchrześcijańskiej z intensywnym życiem religijnym, koncentrującym się w licznych cerkwiach, klasztorach i pustelniach. Od końca XVII w. były to miejsca odosobnienia, ucieczki przed prześladowaniami zwolenników *starej wiary*. W sensie chronologicznym utwór ten wchłonął elementy czasowe kilku warstw historycznych, poczynając od wydarzeń z pierwszej połowy wieku XI (chrystianizacja tych terenów i walki z odradzającym się pogaństwem), po-przez epokę najazdów i zniszczeń tatarskich - wieków XIII i XIV, wypadki następnych stuleci, aż na procesach kulturowych wieku XVIII kończąc (ukształtowanie się ideologii poszczególnych odłamów staroobrzędowców). Stąd w ostatecznej wersji, najpóźniejszej, samorodna opowieść jednocy cztery odrębne utwory, powstałe

w różnym czasie i dla odmiennych celów, które jeszcze nie do końca zrosły się w organiczną całość - fabularną i myślową. Dlatego też zabytek ten ma w sobie więcej z kroniki i żywotu, niż legendy i podania. Kolejno bowiem występują w nim: biografia księcia suzdalskiego Jurija – później kanonizowanego, pełna anachronizmów część historyczna - nierozłącznie spleciona z apologią tej postaci, interpolacja kompozycyjna w formie uogólnionej relacji – o następstwach najazdów tatarskich, w tym o zniszczeniu obu legendarnych grodów oraz zniknięciu Kiteża, wreszcie końcowa, obszerna część *teoretyczna*, będąca właściwie traktatem teologicznym, gdzie wyklada się szczegółowo ideę zaginionego grodu i charakteryzuje drogi duchowe, które mogą doń doprowadzić tylko wybranych.

Legenda kiteżska zajmuje w kulturze rosyjskiej miejsce wyjątkowe. Jej głębokie treści religijno-narodowe, zawarte w szczególnej szacie artystycznej, pociągały najwybitniejszych mistrzów pędzla (Wiktor Wasnicow i Mikołaj Rie-rich), dramaturgów, prozaików, muzyków (Nikołaj Rimskij-Korsakow) i poetów. Jej motywy znajdujemy w twórczości najwybitniejszych pisarzy XIX i XX wieku; interesowali się nią folklorysty i historycy literatury, etnografowie i zbieracze, historycy i powieściopisarze. *Kiteżgrad* to tytuł kilku emferycznych staroprawosławnych periodyków.

Spolszczone utwory XIX-wiecznych rosyjskich fascynatów starowierstwem oraz ich następców, a dotyczące tego niezwykłego ruchu religijno-społecznego, znajdują się w kolekcjach przekładów takich pisarzy, jak Paweł Iwanowicz Mielnikow-Pieczerskij (epopeja *W lasach*), Fiodor Dostojewski (*Zapiski z domu umarłych*, *Zbrodnia i kara*, *Idiota*), Iwan Turgieniew (*Zapiski myśliwego*), Dymitra Mereżkowskiego (poemat *Protopop Awwakum* – 1887), Michaiła Aleksandrowicza Szołochowa *Cichy Don*, (1928-1940). Epizody starowierskie występują bardzo wyraźnie w epopei Szołochowa (1905-1984) *Cichy Don* (1928-1940), opisującej literacko dzieje kozactwa dońskiego w latach 1912-1922. Wprawdzie obrzędy religijne sprowadzają się w tej powieści do znaków krzyża i migawek z cerkwi, nie wiadomo zresztą jakiej, staroczy nowoprawo-



Pilipy Chreptyjowskie: Na fot.: Wiczesław Iwanowicz Gribienko, Lubow Gribienko z Filipów oraz ich wnuk – Nikita Galkin – wybierają się do cerkwi.
Fot. Stefan Pastuszewski

sławnej, ale czasem pojawia się pojęcie *pilipona* (t. I, s. 193), prawdopodobnie w rozumieniu bezpopowca. Przed walką Kozacy przepisują stare modlitwy: *od oręża, od boju, przy natarciu*, które przymocowują do sznurków i zawieszają na sobie pod koszulami. Jednak, zgodnie z ateistycznym duchem epepei, *śmierć piętnowała i tych, co wieźli ze sobą modlitwy* (t. I, s. 280). Pojawia się też Polikarp, *wysoki zuchowaty starowier* (t. II, s. 368), prawdopodobnie popowiec, który jest kimś w rodzaju ordynansa.²⁹

W 1984 r. temat starowierski przybliżył polskim odbiorcom przekład opowiadania Nikołaja Siemionowicza Leskowa (1831-1895) *Napiętnowany anioł*, którego dokonał Zbigniew Podgórzec (1935-2003).³⁰ Utwór ten wzmógł zainteresowanie Jerzego Nowosielskiego (1923-2011) starowier-stwem i jego ikonopisanem, co zaowocowało pewnymi cytatami malarskimi, ale też filozoficzno-eseistyczną refleksją tego wybitnego malarza nad *starą ikoną*.³¹ *Jest to opowieść o tym, jak przekupni urzędnicy opieczętowali państwową pieczęcią skonfiskowaną budującemu most przez Dniepr artelowi staroobrzędowców starodawną ikonę z wizerunkiem Anioła Stróża, malowaną w stylu szkoły Stroganowa. Starosta artelu, Łuka Kiryłow, przechodzi po łańcuchach przez nie dokończony most, by ikonę odebrać i <odpieczętować>. Zatem – opowieść o <cudzie>, pełna subtelnej Leskowowskiej ironii, której współcześni nie zrozumieli. Cud będący dziełem Boga staroobrzędowców zostaje unieważniony w finale opowiadania: przewyższa go cud prawosławnego Boga, na skutek czego staroobrzędowcy nawracają się hurmem na nową wiarę. Finał ów został potępiony nawet przez Dostojewskiego, na którym opowiadanie jako takie sprawiło korzystne wrażenie, reszta krytyków natomiast uderzyła, swym zwyczajem, bez namysłu. Nikt nie zauważył, że drugi cud w finale jest po prostu złudzeniem, sprytnym podstępem. Staroobrzędowców nawróciło na nową wiarę zwyczajne ludzkie oszustwo*”³².

Starowierców, jako odrębne, choć należące do wielkiej rodziny prawosławnej wyznanie, postrzegał również Władimir Siergiejewicz Sołowiew (1853-1900). W swej wizji jednoczącego się chrześcijaństwa, choć zwiedzonego przez Antychrysta, pisał o zjednoczeniu rosyjskiego prawosławia z *najlepszą częścią starowierców*³³ - na soborze powszechnym wszystkich chrze-

²⁹ Michał Aleksandrowicz Szolochow, *Cichy Don*, przekład z rosyjskiego Wacław Rogowicz i Andrzej Stawar, Warszawa 1977, SW „Czytelnik”.

³⁰ Nikołaj Siemionowicz Leskow, *Napiętnowany anioł i inne opowiadania*, Kraków 1984, Wydawnictwo Literackie, s. 323-411.

³¹ Zbigniew Podgórzec, *Wokół ikony. Rozmowy z Jerzym Nowosielskim*, Warszawa 1985, Instytut Wydawniczy PAX.

³² Jurij Nagibin, *O Leskowie*, z rosyjskiego przełożyła Ałła Sarachonowa, [w:] Nikołaj Siemionowicz Leskow, *Napiętnowany anioł i inne opowiadania*, Kraków 1984, Wydawnictwo Literackie, s. 431-432.

³³ Władimir Siergiejewicz Sołowiew, *Krótką opowieść o Antychryście*, z rosyjskiego przełożył Ludwik Posadzy, Poznań 1996, Wydawnictwo „Wers”, s. 70.

ścijan: *I większa część hierarchów wschodu i północy, połowa dawnych starowierów, więcej niż połowa prawosławnych księży, mnichów i laików wstąpiła na estradę z okrzykami radości, spoglądając z ukosa na katolików dumnie już tam siedzących*³⁴.

Tak więc, literatura piękna, dzięki silnemu podłożu emocjonalnemu i wybiórczemu skupieniu się na osobliwościach opisywanego przedmiotu, w tym przypadku staroprawosławia, stanowi istotne uzupełnienie kreowanego - głównie przez naukę i publicystykę - obrazu tego fenomenu etnoreligijnego.



³⁴ Ibid, s.75.

Bogusław Korzeniewski

(Terespol)

**Niemiecko-sowiecka defilada w Brześciu n/Bugiem
(22.09.1939 r.)**

17 września 1939 r. ok. godz. 8,10, po trzech dniach i nocach zaciętych walk, Twierdza Brzeska została zajęta przez wojska niemieckie¹. Przez niezniszczony most na Bugu, od strony Terespolu, wkroczyły do miasta oddziały 76 Pułku Piechoty Zmotoryzowanej XIX Korpusu Pancernego gen. Heinza Guderiana. Już następnego dnia gen. H. Guderian otrzymał od dowództwa Grupy Armii „Północ” rozkaz, by do 21 września wycofać wojska niemieckie na zachód, za linię demarkacyjną Białystok – Brześć – Sokół – Lwów – Przemyśl – Użożka². W tym czasie gdy wojska niemieckie wkroczyły do Twierdzy Brzeskiej, 29 Brygada Pancerna kambriga Siemiona Kriwoszeina zmierzała do Baranowicz, które zostały zajęte wieczorem 17 września, a dwa dni później Prużany³.

Zbliżanie się wojsk sowieckich do pozycji zajmowanych przez wojska niemieckie spowodowało konieczność koordynacji wzajemnych działań. 20 września, ok. godziny 9,00, do sztabu 10. Dywizji Pancerniej, stacjonującego w Turnu, przyjechał oficer Armii Czerwonej. Przekazał on informację, że za ok. 3 godziny dotrą tutaj pierwsze oddziały radzieckie⁴. Skierowany on został do dowództwa Korpusu Pancernego w Brześciu. Podczas spotkania z gen. H. Guderianem rozmawiał o przebiegu linii demarkacyjnej⁵.

Tego samego dnia wysłany został z Prużan w kierunku Brześcia sowiecki oddział zwiadowczy. Wrócił on z kilkoma żołnierzami niemieckimi,

¹ *Mikrofilmy aleksandryjskie*, Archiwum Akt Nowych, sygn.T-134, rolka 614, klatka 82.

² J. Izdebski, *Przekazanie Rosjanom przez Wehrmacht Brześcia Litewskiego*, [w:] *Wojskowy Przegląd Historyczny*, nr 3-4, R.XXXVI, 1991, s. 247.

³ М. И. Мельтюхов, *Советско-польские войны. Военно-политическое противостояние 1918—1939 гг.*, <http://militera.lib.ru/research/meltyukhov2/03.html>

⁴ J. Izdebski, op. cit., s. 246-247. Najprawdopodobniej był nim sekretarz partyjnej komisji brygady Włodzimierz Julianowicz Borowicki, a nie, jak przypuszcza J. Izdebski, kpt. Gubanow.

⁵ <http://fortification.ru/forum/index.php?topic=238.105>

wśród których było dwóch oficerów. Kriwoszein skonsultował się z komandarmem Wasiljem Czujkowem, w efekcie czego otrzymał od niego instrukcje jak postępować z Niemcami. Żołnierze niemieccy ugoszczeni zostali rosyjskim barszczem i szaszłykami, a do obiadu przygrywała im orkiestra wojskowa⁶. Na pożegnanie Kriwoszein polecił przekazać *gorące pozdrowienia generałowi Guderianowi*⁷.

Kolejna wizyta oficerów sowieckich w sztabie XIX Korpusu Pancernego miała miejsce 21 września. Około godziny 12,00 przybyła do Brześcia – samochodem pancernym – delegacja sowiecka, z kapitanem Gubanowem i komisarzem batalionowym Panowem. Powiadomili oni dowództwo niemieckie o zbliżaniu się do miasta 29. Brygady Pancerniej⁸. Oficerowie zostali zaproszeni na obiad, po którym przystąpiono do rozmów na temat przekazania Brześcia i twierdzy Rosjanom. Zakończyły się one około godziny 16,00 podpisaniem porozumienia, sygnowanego przez kapitana Gubanowa i pułkownika Nehringa (*Vereinbarung über die Übergabe der Stadt Brest-Litowsk und das weitere Vorgehen der russ. Truppen*)⁹. Uzgodniono w nim, że sowiecki batalion, który przejmie kontrolę nad miastem i twierdzą, przybędzie do Brześcia o godz. 8,00. Dwie godziny później miało rozpocząć się posiedzenie komisji mieszanej, w składzie kapitan Gubanow, komisarz batalionowy Panow, podpułkownik Holm i podpułkownik Sommer, a o godz. 14,00 niemieckie i sowieckie wojska miały uczestniczyć we wspólnym uroczystym przemarszu („Vorbeimarsch”). Ustalono też, że zmiana flag dokonana zostanie przy akompaniamencie orkiestr wojskowych, które będą grały hymny narodowe. Wszystkie trofea wojenne zatrzymywali przy sobie Rosjanie, natomiast czasowo mieli pozostawać w Brześciu ranni żołnierze niemieccy, a także uszkodzony sprzęt. W tekście porozumienia zapisano, że *dalsze ruchy wojsk rosyjskich uzgodnione zostaną przez komisję mieszaną, na podstawie dyrektyw dowództwa obu stron*¹⁰. Wieczorem – tego samego dnia – Kriwoszein otrzymał od dowodzącego 4. Armią Wasilija Czujkowa rozkaz zajęcia miasta i Twierdzy Brzeskiej¹¹.

Po podpisaniu umowy dowódca 20. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej – gen. Mauritz von Wiktorin - wydał wytyczne dotyczące organizacji defilady. Zapisano w nich, że w defiladzie weźmie udział 90. pułk piechoty zmotoryzowanej, sztab 56. pułku artylerii, II dywizjon 20. pułku artylerii, I dywi-

⁶ М. И. Мельтюхов, *op. cit.*

⁷ С.М. Кривошеин, *Мездубурье*, Воронеж 1964, s.252.

⁸ W. Bieszanow, *Twierdza Brzeska*, Warszawa 2012, s.146.

⁹ *Mikrofilmy aleksandryjskie*, *op. cit.*, sygn.T-134, rol. 614, klatki 326-327.

¹⁰ Tamże, kl. 327.

¹¹ С.М. Кривошеин, *op. cit.*, s.252.

zjon 56. pułku artylerii¹². Dowództwo niemieckie nie było pewne, czy strona rosyjska wystawi swoją orkiestrę wojskową, dlatego niemiecka orkiestra wojskowa podczas zmiany flag miała zagrać hymn niemiecki i w miarę możliwości również rosyjski. Do wspólnego przemarszu z oddziałami Armii Czerwonej wyznaczony został 20. batalion rozpoznawczy. Po pożegnaniu gen. H. Guderiana z kambrygiem Kriwoszeinem dowódca XIX Korpusu Pancernego, wraz z dowódcą 20. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej, mieli maszerować na czele 20. batalionu rozpoznawczego, zamykającego defiladę¹³.

Następnego dnia, o godzinie 8,00, z Brześcia zaczęły wyjeżdżać wojska niemieckie, a pół godziny później dowództwo XIX Korpusu. O godzinie 9,00 miasto opuściły ostatnie oddziały 3. Dywizji Pancerniej, a po nich jednostki 20. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej¹⁴. Pozostały tylko formacje wojskowe, które miały brać udział w defiladzie, a także gen. H. Guderian, szef sztabu XIX Korpusu Pancernego, adiutant, oficer wywiadowczy oraz pomocnik oficera operacyjnego. W tym czasie 29. Brygada Pancerna, w składzie 242 czołgów, przemieszczała się szosą moskiewsko-warszawką w kierunku Brześcia. Zgodnie z doniesieniami sowieckiego zwiadu miasto od północy miało już nie być chronione.

22 września, już przed godziną 8,00, Niemcy oczekiwali w Brześciu na przybycie wojsk sowieckich. Oczekiwanie przedłużało się, co odnotowane zostało w „Dzienniku wojennym XIX Korpusu Pancernego”: *8,30 – rosyjski batalion, który miał przybyć o godzinie 8,00, aby przejąć miasto i Twierdzę Brzeską jeszcze nie przybył*¹⁵. Godzinę później pojawił się kolejny zapis: *Rosjanie nadal nie przybyli*¹⁶. Wojska sowieckie dopiero ok. godziny 11,00 dotarły do rogatek miasta¹⁷. Kolumna sowieckich czołgów została jednak zatrzymana przez oficera niemieckiego, który „wykrzykując” kazał się wycofać. Kriwoszein zagroził mu, że jeśli ich nie przepuści, to „zostanie aresztowany i odesłany pod konwojem do Guderiana”¹⁸. Po tak zdecydowanej reakcji kambryga oficer niemiecki powiadomił komendanta Brześcia ppłk. Holma o zaistniałej sytuacji. Wówczas Holm przybył osobiście, w asyście kilku oficerów. Na powitanie komplementował, że jest wielce rad przywitać w osobie

¹² *Mikrofilmy aleksandryjskie*, op. cit., rol. 614, kl. 328.

¹³ Tamże.

¹⁴ Tamże, rol. 611, kl. 697.

¹⁵ Tamże.

¹⁶ Kpt. Gubanow „jako przyczynę spóźnienia podał, że ubiegłej nocy Kobryń ponownie został zajęty przez Polaków i w czasie przemarszu czołowe oddziały jego brygady musiały przebijać się przez Kobryń”; *Mikrofilmy aleksandryjskie*, op. cit., rol. 611, kl. 697.

¹⁷ C. M. Кривошеин, op. cit., s.252.

¹⁸ S. M. Kriwoszein, *Defilada w Brześciu (notował W. Kubicki)*, „Przekrój”, nr 2310, 1989.

Kriwoszeina sławną *Armię Czerwoną*, po czym zapytał dokąd on zmierza. Kambryg odpowiedział, iż podąża do Brześcia i *nie rozumie, czym spowodowana jest ta zwłoka*¹⁹. Holm poinformował go, że zgodnie z podpisanym porozumieniem oddziały Armii Czerwonej mogą wejść do miasta dopiero po godz. 14. Wówczas Kriwoszein stwierdził, że nic nie wie o takich warunkach²⁰ i zaproponował, aby wojsko zostało na miejscu, on zaś pojedzie samochodem do gen. H. Guderiana, by przekazać mu wyrazy szacunku²¹. Holm zgodził się i zaoferował mu nawet przejazd do Brześcia swoim samochodem.

Kriwoszein wspominał: *W centrum budynku Urzędu Wojewódzkiego, był sztab Guderiana. Zjawili się tam przede mną 20 wypoczętych, wygolonych, odprasowanych niemieckich oficerów. Komendant miasta poszedł zamełdować Guderianowi moje przybycie, a ja czekałem około 10 minut w sali z pięknymi portretami polskich hetmanów. Po 10 minutach zjawia się grupa oficerów, wśród których jest mały, suchy generał. Staje 3 kroki przede mną i oświadcza, że w osobie generała Kriwoszeina wita Armię Czerwoną, potężną itd. Odpowiedziałem mu podobnie. Potem siedliśmy na rozmowę*²².

W jej trakcie dyskutowano o sprawach związanych z przejęciem zwierzchnictwa nad miastem i twierdzą przez dowództwo sowieckie²³. Spotkanie przebiegało w atmosferze przyjaźni i zrozumienia, Guderian dopytywał się



¹⁹ С.М. Кривошеин, *op. cit.*, s.253.

²⁰ Zgodnie z porozumieniem batalion sowiecki, przejmujący kontrolę nad miastem i twierdzą miał przybyć o godz. 8,00. Nie wiadomo dlaczego więc Niemcy nie chcieli przepuścić do Brześcia oddziałów sowieckich. Chyba, że wcześniej przed głównymi siłami, z którymi podążał Kriwoszein, przybył do Brześcia batalion dowodzony przez kpt. Gubanowa. Z „Dziennika wojennego XIX Korpusu Pancernego wynika, że kpt. Gubanow przybył do Brześcia około 15 minut przed Kriwoszeinem. Nie wiadomo jednak czy przybył sam, czy na czele wspomnianego batalionu.

²¹ С.М. Кривошеин, *op. cit.*, s.254.

²² S.M. Kriwoszein, *op. cit.*

²³ *Mikrofilmy aleksandryjskie*, *op. cit.*, rol. 611, kl. 697.

nawet o zdrowie Kriwoszeina i jego najbliższej rodziny²⁴. Z kolei Kriwoszein skomplementował młody wygląd H. Guderiana.

Początkowo rozmowa prowadzona była z udziałem tłumacza, z czasem jednak obaj dowódcy przeszli na język francuski, co w znacznym stopniu ułatwiło rozmowę²⁵. H. Guderian opowiadał m.in. o swojej książce „Uwaga, czołgi”, wskazując na olbrzymie ich znaczenie w działaniach wojennych.



Wspomnił też o sukcesach wojsk niemieckich w wojnie z Polską, przy okazji obwiniając Polaków za jej wybuch. W trakcie rozmowy Guderian podjął temat dotyczący zorganizowania wspólnej defilady *na cześć wojsk niemieckich wychodzących z miasta*. Powołał się przy tym na ustalenia dokonane na wyższym szczeblu²⁶. Żołnierze obu armii mieli wspólnie przemarszerować przed dowództwami, a po uroczystej paradzie, podczas odgrywania hymnów państwowych, miała nastąpić zmiana flag. Jednak Siemion Kriwoszein nie zgodził się na wspólny przemarsz, ponieważ obawiał się, że jego żołnierze, zmęczeni długim marszem, zaprezentują się dużo gorzej niż Niemcy, (już wypoczęci)²⁷. Powiedział więc Guderianowi, że załogi czołgów rosyjskich chciałyby raczej zobaczyć defiladę wojsk niemieckich²⁸. Uchylając się od wspólnej defilady, zaproponował, aby jego żołnierze weszli do miasta oddzielnie, w momencie, kiedy wojska niemieckie będą je opuszczały²⁹. Po latach Kriwoszein

²⁴ С.М. Кривошеин, *op. cit.*, s.256.

²⁵ H. Guderian, *Wspomnienia żołnierskie*, Warszawa 2007, s.88; С.М. Кривошеин, *op. cit.*, s.256.

²⁶ С.М. Кривошеин, *op. cit.*, s.257-258.

²⁷ Tamże, s.258.

²⁸ *Микрофильмы александровские*, *op. cit.*, rol. 611, kl. 697.

²⁹ С.М. Кривошеин, *op. cit.*, s.258.

wspominał: *Ostatecznie stanęło na tym, że dam na wspólną defiladę orkiestrę i 1 batalion. Guderian upominał się tylko, żebyśmy razem stali na trybunie. I tak było. Razem przyjmowaliśmy tę defiladę*³⁰. Życzenie kambryga spowodowało stosowne zmiany w przebiegu uroczystości, ustalono, że nie będzie przemarszu rosyjskich wojsk pancernych, lecz orkiestra wojskowa i załogi czołgów zajmą miejsce obok orkiestry 20. Dywizji, naprzeciw naczelnych dowódców³¹.

Po ustaleniu kwestii związanych z organizacją defilady Guderian zaprosił Kriwoszeina na wspólne śniadanie, przygotowane w innym pokoju³². Rozpoczęło się ono od krótkich przemówień. Jako pierwszy zabrał głos gen. Guderian. W swoim wystąpieniu podkreślił rolę i znaczenie niemiecko-sowieckiego braterstwa broni. Potem przemówił kambryg Kriwoszeina, który również wskazał na duże znaczenie wspólnego braterstwa broni, ale też uwydatnił olbrzymią rolę Stalina w budowaniu przyjaznych stosunków. Życzył również Niemcom szybkiego zwycięstwa nad kapitalistyczną Anglią i zaprosił Guderiana do Moskwy. Uzgodnione porozumienie zostało „przypieczętowane” toastami i zapite wódką³³.

Kriwoszeinowi udzieliła się „famiłarna” atmosfera tego spotkania, postanowił więc wnieść toast po niemiecku. A że od czasów szkolnych nie używał języka niemieckiego, przydarzył mu się zabawny lapsus, który początkowo wywołał u gospodarzy znaczną konsternację. Wznoszący toast przekreślił słowo przyjaźń, z *Freundschaft* na *Feindschaft*. W efekcie wyszło: *Piję za wieczną wrogość (Ich trinke auf ewige Feindschaft)*. Szybko się jednak poprawił i powiedział: *Piję za wieczną przyjaźń naszych narodów (Ich trinke auf ewige Freundschaft unserer Völker)*. Tym razem także trochę przekreślił słowo przyjaźń, ale wszyscy już zrozumieli o co mu chodziło i z uśmiechem podnieśli kieliszki w górę³⁴. Po śniadaniu kambryg podziękował za gościnę, bowiem zamierzał już zakończyć „przedłużające się spotkanie”³⁵. Gen. Guderian zatrzymał go jednak, zapraszając na filiżankę kawy. Obaj dowódcy przeszli do innego pokoju, w którym znajdowały się miękkie kanapy, fotele i stoliki. Za jednym z nich usiadł Guderian z Kriwoszeinem. Podczas „przyjaznych rozmów” Guderian ponownie zaczął opowiadać o działaniach wojsk niemieckich, uwydatniając znaczenie czołgów w wojnie z Polską. Podkreślił też ich przydatność w bitwie o Twierdzę Brzeską³⁶.

³⁰ S.M. Kriwoszeina, op. cit.

³¹ *Mikrofilmy aleksandryjskie*, op. cit., rol. 611, kl. 697.

³² С.М. Кривошеин, op. cit., s.258.

³³ K. Szarski, *Defilada w Brześciu we wrześniu 1939 r.*, „Polityka” 1990, nr 25 (z 23.06. 1990).

³⁴ P. Carell, *Operacja „Barbarossa”*; Warszawa 2008, s.26; K. Szarski, op.cit.

³⁵ С.М. Кривошеин, op. cit., s.258.

³⁶ Tamże.

Przyjacielska atmosfera udzieliła się także żołnierzom obu armii, którzy serdecznie ściskali sobie dłonie, wymieniali się papierosami, a oficerowie częstowali się piwem³⁷. Romuald Bujas wspominał: *Pozostało mi w pamięci, jak po jednej stronie ulicy stały czołgi niemieckie, a po drugiej radzieckie. Czołgiści Wehrmachtu i Armii Czerwonej witali się. Niemcy mówili: „Kommu-*



nisten gut”³⁸. Niemiecy i sowieccy żołnierz pozowali też wspólnie do zdjęć.

Defilada rozpoczęła się o godz. 14,30, czyli pół godziny później niż zapisano w porozumieniu dotyczącym przekazania Brześcia³⁹. Opóźnienie związane było z późniejszym niż przewidywano przybyciem do Włodawy wojsk sowieckich, które miały zluźować batalion 20. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej oraz z zablokowanymi drogami dojazdowymi przez rosyjskie czołgi. Na ulicę Unii Lubelskiej, udekorowaną z tej okazji niemieckimi i sowieckimi flagami, pierwszy przyjechał Kriwoszejn. Zaraz po nim pojawił się gen. Guderian. Podszedł on do kambryga i przywitał się⁴⁰.

Guderian z Kriwoszejnem stali na prowizorycznej trybunie honorowej, zrobionej ze stołu kuchennego. Skrócono w nim nogi, aby obu dowódcom było łatwiej wejść⁴¹. Naprzeciwko trybuny stali żołnierze batalionu sowieckiego oraz orkiestra wojskowa⁴². Defiladę otworzyły niemieckie oddziały: dwa dywizjony artylerii, pułk piechoty zmotoryzowanej, na końcu maszerowali żołnierze z batalionu rozpoznawczego. Na czele ostatniej kolumny podążała orkiestra wojskowa. Przy akompaniamencie muzyki marszowej, na samochodach i motocyklach jechała zmotoryzowana piechota, a za nią artyleria i czołgi. Żołnierze niemieccy maszerowali

³⁷ Советско-фашистская дружба, <http://www.novayagazeta.ru/society/38699.html>

³⁸ Ромуальд БУЛЯС, <http://vb.by/sarychev/content/75/main.php>

³⁹ Mikrofilmy aleksandryjskie, op. cit., rol. 611, kl. 697. Według Kriwoszeina defilada wojsk niemieckich rozpoczęła się o godz. 16,00; С.М. Кривошеин, op. cit., s. 258.

⁴⁰ Самый спорный парад Второй мировой войны – http://www.bbc.co.uk/russian/international/2009/08/090819_brest_parade_1939.shtml

⁴¹ Hołub Cz. *Moje Polesie*, s. 766, [w:] *Europa nieprowincjonalna*, red. K. Jasiewicz, Warszawa 1999.

⁴² S.M. Kriwoszejn, op.cit.

w zwartym szyku - od ulicy Jagiellońskiej, przez ulicę Unii Lubelskiej, w kierunku dworca kolejowego. Dalej udali się ulicą Kasztanową w stronę Twierdzy, następnie mostem terespolskim za Bug.

Wzdłuż ulicy Unii Lubelskiej rozchodziły się donośne odgłosy marszowego kroku podkutych niemieckich butów, Nad trybuną honorową przeleciały dwie eskadry samolotów niemieckich. Guderian przekrzykując szum silników samolotów powiedział: *niemieckie asy*. Kriwoszejn szybko zripostował: *u nas są lepsi*⁴³. Po wyjeździe ostatnich pojazdów niemieckich *dowódca korpusu skierował słowo do rosyjskiego dowódcy i przekazał mu w imieniu niemieckiej armii „rosyjską twierdzę” Brześć*⁴⁴. Po zakończeniu wystąpienia Guderian dał rozkaz do opuszczenia niemieckiej flagi wojennej. O godzinie 16,45 żołnierze niemieccy, przy dźwiękach niemieckiego hymnu państwowego, ściągnęli z masztu flagę ze swastyką, a w jej miejsce żołnierze sowieccy, przy dźwiękach „Międzynarodówki”, zawiesili czerwoną flagę sowiecką - z sierpem i młotem⁴⁵. Według opinii jednego ze świadków sowiecka orkiestra wojskowa składała się z miejscowych członków Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi⁴⁶. Dowódcy obu armii pożegnali się serdecznie słowami: *do spotkania w Berlinie oraz do spotkania w Moskwie*⁴⁷. Guderian obiecał przysłać wspólną fotografię obu dowódców, stojących na trybunie. Z zobowiązania tego wywiązał się⁴⁸. Pożegnawszy się z radzieckimi oficerami, gen. Guderian wraz z szefem sztabu *natychmiast wyjechali do nowego miejsca postoju sztabu korpusu w Zambrowie*⁴⁹. Dla uregulowania pozostałych spraw, związanych z przejęciem Brześcia, pozostał tam na jakiś czas były niemiecki komendant miasta - ppłk Holm (wraz z tłumaczem)⁵⁰.

Po zakończeniu przemarszu wojsk niemieckich nastąpiła krótka przerwa, po czym ogłoszony został przez megafony pochód wojsk sowieckich⁵¹. Do miasta wjechali żołnierze 4. batalionu 29. Brygady Pancерnej. Żołnierze sowieccy przemieszczali ulicą Szosową, dalej Jagiellońską, by w końcu wkroczyć na ulicę Unii Lubelskiej. Wyglądali zupełnie inaczej niż Niemcy. Na no-

⁴³ С.М. Кривошеин, op.cit., s.261.

⁴⁴ *Mikrofilmy aleksandryjskie*, op. cit., rol. 611, kl. 698.

⁴⁵ Tamże; Светозар Николаевич СИНКЕВИЧ, <http://vb.by/sarychev/content/75/main.php>; *Петр Онуфриевич КОЗИК*, tamże.

⁴⁶ *Петр Онуфриевич КОЗИК*, <http://vb.by/sarychev/content/75/main.php>

⁴⁷ W. Bieszanow, op. cit., s.148.

⁴⁸ S.M. Kriwoszejn, op. cit.

⁴⁹ *Mikrofilmy aleksandryjskie*, op. cit., rol. 611, kl. 698. H. Guderian za udział w kampanii wrześniowej otrzymał Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego, zaś Kriwoszejn tytuł Bohatera Związku Sowieckiego.

⁵⁰ *Mikrofilmy aleksandryjskie*, op. cit., rol. 611, kl. 698.

⁵¹ S. Mirecki, *Balszój parad*, „Słowo Podlasia” 1990, nr 1 (z 04.01.1990 r.)

gach mieli brezentowe buty, zamiast skórzanych pasów nosili pasy parciane⁵². Halina Kierska w swoim dzienniku zapisała: *Szok. Odjeżdżają świetnie wyposażone i ubrane oddziały niemieckie, a pojawia się jak w koszmarnym śnie, wojsko w nędznych, postrzępionych u dołu płaszczach, z plecakami-workami na sznurkach, w byle jakich butach i z podobnymi karabinami, czapki z czerwonymi gwiazdami. Bolszewicy!*⁵³. Bezpośredni obserwator wydarzeń – Zygmunt Kwiek – w swoich wspomnieniach zanotował: *Niemcy prezentowali się znakomicie. Wszyscy w pełnej gali, zdyscyplinowani i bardzo napuszeni. Mundury opięte, dopasowane. Całość błyszczała czystością, a piersi obwieszane były orderami. Na tym, wypucowanym na wysoki połysk tle oficerowie sowieccy przedstawiali się bardzo mizernie. Mundury niedopasowane. A właściwie nie mundury, a bluzy, wiszące na nich jakoś workowato, bez naramienników i specjalnych odznaczeń. Buty co prawda z cholewami, ale u niektórych cholewy brezentowe, opuszczone w harmonijkę*⁵⁴. Osoby oglądające defiladę dostrzegły u żołnierzy sowieckich „brudne buty”, „zakurzone szynele”, „zarost na twarzach”, „karabiny na sznurkach”⁵⁵.

Stanisław Mirecki tak oto opisał defiladę wojsk sowieckich: *Po formacjach pieszych jechały samochody ciężarowe. Również z żołnierzami. Wszyscy w jednakowych płaszczach. Różnili się tylko nakryciami głowy. Czapki czekistów okrągłe, z otokami w różnych kolorach. Następnie jechała artyleria*⁵⁶. Artylerię sowiecką ciągnęły traktory gąsienicowe oraz małe zabiedzone konie, w uprzęży wykonanej ze splecionych sznurków. Za artylerią jechały czołgi – najpierw małe, a za nimi, „po wcześniejszym ogłoszeniu odbył się przejazd trzech dużych czołgów. Jechały z dużą szybkością. Na przedzie środkiem jezdni jeden wiózł olbrzymi czerwony sztandar. Za nim podążały dwa pozostałe. Tuż przy krawężnikach. Na zakręcie ul. Unii Lubelskiej wiodącej tą trójkę, chcąc widocznie skrócić trochę w prawo, wpadł w boczny poślizg. Dosunął się do krawężnika z lewej strony. Uderzył w niego i ... przewrócił na lewy bok. Jeden z pozostałych ratując się przed podobną sytuacją uderzył w budynek murowany, a drugi wpadł na podwórko ochotniczej straży pożarnej”⁵⁷. Prze-

⁵² Daleko idącą różnicę w wyposażeniu żołnierzy obu armii widać było również po sposobie sporządzania papierosów. Żołnierze sowieccy otrzymywali woreczek z tytoniem, i ze skrawka gazety sklejali skręta. Następnie przy pomocy iskry z krzesiwa zapalali papierosa. Niemcy mieli papierosnice z bibułkami i zapalki.

⁵³ H. Kierska, *Kędy kazachski step... Dzienni deportowanej 1929-1946*, Wrocław 2009, s.28.

⁵⁴ Z. Kwiek, *Z tych lat gniewnych. Wspomnienia 1939-1945*, Szczecin 2002, s.14.

⁵⁵ M.in.: Ludmiła Kurow, *Defilada zwycięzców*, TVP, 2007, reż. G. Braun, R. Kaczmarek; Паула Андреевна ШИРНИЮК и Ярослав Захарович ШИРНИЮК, <http://vb.by/sarychev/content/75/main.php>; Z. Kwiek, op. cit., s.14.

⁵⁶ S. Mirecki, op. cit.

⁵⁷ Tamże.

wrócony czołg postawiono przy pomocy dźwigów oraz dwóch ciągników gąsienicowych. Czołgi te ponownie przejechały ulicą Unii Lubelskiej, jednak już z mniejszą prędkością.

Słoneczny i ciepły dzień sprzyjał pojawieniu się widzów, którzy z zainteresowaniem przypatrywali się defiladzie. Nie było jednak dużych tłumów. Większość obserwatorów skupiła się naprzeciw trybuny honorowej. Tylko niewielu wie-dzieli, że są świadkami defilady niemiecko-sowieckiej. Raisa i Jarosław Szirnjuk wspominali: *O paradzie oficjalnie nikt nie ogłaszał, ale „poczta pantoflowa” zadziałała niezawodnie. Już rano wszyscy w mieście wiedzieli, że będzie prze-marsz wojsk*⁵⁸. Większość mieszkańców Brześcia była zdezorientowana, nie rozumiała zachodzących na ich oczach zmian. Ludzie przede wszystkim nie wiedzieli w jakim państwie i pod jaką władzą będą teraz żyć⁵⁹, nie wiedzieli dlaczego Sowieci wkroczyli i „co oni tutaj robią”⁶⁰. Niektórzy, przede wszystkim Białorusini



i Żydzi, z radością witali wkraczającą do Brześcia Armię Czerwoną⁶¹. Na rogatkach ustawione zostały trzy bramy triumfalne. Swietozor Sienkiewicz wspominał: *Z wielką ciekawością pobiegłem zobaczyć. Przecież to nasi, Rosjanie*⁶². Żołnierze sowieccy mówili, że przybyli „na prośbę miejscowej ludności”, aby uwolnić ją „od polskich panów kapitalistów”⁶³. Działacze Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi wznosili okrzyki: *Niech żyje władza radziecka*⁶⁴.

⁵⁸ Раиса Андреевна ШИРНЮК и Ярослав Захарович ШИРНЮК, <http://vb.by/sarychev/content/75/main.php>; zob. też Marian Derej, Defilada zwycięzców, TVP, 2007, reż. G. Braun, R. Kaczmarek.

⁵⁹ Борис Трофимович АКИМОВ, <http://vb.by/sarychev/content/75/main.php>; Советско-фашистская дружба, <http://www.novayagazeta.ru/society/38699.html>.

⁶⁰ H. Kierska, op. cit., s. 28.

⁶¹ Holub Cz. op. cit., s. 766; Светозар Николаевич СИНКЕВИЧ, <http://vb.by/sarychev/content/75/main.php>

⁶² Светозар Николаевич СИНКЕВИЧ, <http://vb.by/sarychev/content/75/main.php>

⁶³ Tamże.

⁶⁴ Петр Онуфриевич КОЗИК, <http://vb.by/sarychev/content/75/main.php>

Cześć Białorusinów wychodziła na ulice z czerwonymi wstążkami i czerwonymi kwiatami⁶⁵. Dla Polaków była to jednak chwila bardzo smutna. Obawiano się nowej władzy. *Samo słowo bolszewik wzbudza przeraźliwy strach* – pisała w swoim pamiętniku mieszkanka Brześcia Halina Kierska⁶⁶. Obserwująca defiladę Alicja Guzewicz wspominała: *mama na widok maszerujących żołnierzy sowiecki rozplakała się*⁶⁷. Inny mieszkaniec miasta, do stojących obok niego chłopców, powiedział: *sztandar powiesili, to klęska dla nas. Chłopcy nie patrzcie, bo tu nie ma nic dobrego*⁶⁸. Część Brześcian pamiętała doskonale, jak to kilka miesięcy wcześniej, w rocznicę śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego, ulicą Unii Lubelskiej maszerowali polscy żołnierze.

Przed opuszczeniem Brześcia Niemcy przekazali dowództwu sowieckiemu polskich jeńców, tych, którzy wcześniej bronili Twierdzy. Do niewoli niemieckiej w rejonie Brześcia dostało się ok. 7 tys. polskich żołnierzy⁶⁹. Szeregowych pochodzących z Kresów Wschodnich zwolniono do domów, natomiast oficerów i podoficerów zatrzymano. Część z nich umieszczona została w brzeskim więzieniu karnym. 27 września jeńców z cytadeli i więzienia załadowano do wagonów towarowych i przetransportowano do stacji kolejowej Babinin. Stamtąd zaś, w kolumnie marszowej, eskortowano do obozu Pawliszczew-Bor⁷⁰.

Defilada niemiecko-sowiecka była nie tylko potwierdzeniem zawartego sojuszu, miała także pokazać zachodnim mocarstwom, że pojawił się nowy sojusz dwóch potężnych państw, które są w stanie na nowo kształtować granice w Europie i na świecie. Niemiecki korespondent wojenny Kurt Frowein napisał, że uścisk dłoni Guderiana i Kriwoszeina *dowodził, że Niemcy i Rosja jednoczą się, aby wspólnie decydować o losach Europy Wschodniej*⁷¹.

⁶⁵ Anna Fomina, *Defilada zwycięzców*, op. cit.

⁶⁶ H. Kierska, op. cit., s.25.

⁶⁷ *Wspomnienia Alicji Guzewicz z 2009 r.*, zbiory własne autora.

⁶⁸ Zbigniew Żurawlew, *Defilada zwycięzców*, op. cit.

⁶⁹ *Mikrofilmy aleksandryjskie*, op. cit., rol. 611, kl. 695.

⁷⁰ J. Sroka, *Obrońcy Twierdzy Brzeskiej we wrześniu 1939 r.*, Biała Podlaska 1992, s.98.

⁷¹ <http://www.xxwiek.pl/dzien/1939-09-22/> Wspólna defilada wojsk Armii Czerwonej i Wehrmachtu w Brześciu /m 20269

Defilada w Brześciu n/Bugiem (22.09.1939 r.)









Zdjęcia wykorzystane w artykule pochodzą ze zbiorów własnych autora

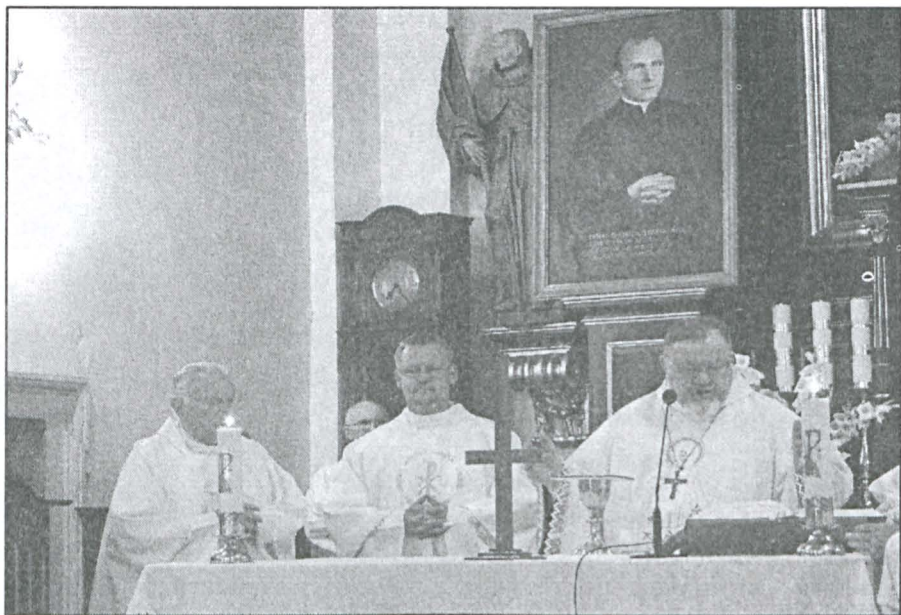
Agnieszka Wawryniuk

(Rossosz)

Kapłan, przyjaciel, wychowawca: wspomnienie o ks. dr Edmundzie Barbasiewiczu (1912-1978)

5 sierpnia 2013 r. obchodziliśmy 35 rocznicę śmierci ks. dr Edmunda Barbasiewicza. Tego dnia w kościele św. Antoniego w Białej Podlaskiej odprawiono Mszę św. o wieczny pokój dla tego niezapomnianego kapłana. Eucharystii przewodniczył ks. bp Antoni Dydycz. Ordynariusz diecezji drohiczyńskiej przypomniał życiorys ks. E. Barbasiewicza. Przytoczył też obszernie fragmenty wspomnień jego wychowanków. Podkreślił, że rektor kościoła św. Antoniego zawsze wszystko powierzał Bożej Opatrzności. Z gorliwością podchodził do wszystkich swoich obowiązków, nie lękał się trudności i spotkań z drugim człowiekiem. W pamięci swoich uczniów zapisał się jako wielki przyjaciel młodzieży. *Był świadomy swego powołania. Wiedział, że powinien prowadzić ludzi do zbawienia wiecznego. Wszystkich karmił wiarą, nadzieją i miłością. Dziś przebywa pośród nas, jest w naszych myślach i sercach* – mówił bp A. P. Dydycz. Podczas Mszy św. imię ks. Edmunda Barbasiewicza przyjęła 13 Grunwaldzka Drużyna Harcerska „Astus”. Uroczystości rocznicowe zakończyło ognisko obrzędowe. Zaproszono na nie osoby, które osobiście znały patrona drużyny. Wspomnienia przeplatały się ze śpiewami. Wszystko po to, by godnie uczcić zasłużonego ks. E. Barbasiewicza.

Jakim człowiekiem i kapłanem był rektor kościoła św. Antoniego w Białej Podlaskiej? Na pewno cieszył się ogromnym szacunkiem i poważaniem wśród tych, do których był posłany, a na takie uznanie trzeba sobie przecież zasłużyć. Oddajmy głos tym, którzy znali ks. E. Barbasiewicza. Zanim trafił do Białej Podlaskiej posługiwał m.in. w parafii św. Józefa w Międzyrzecu Podlaskim. *Ks. E. Barbasiewicz bardzo dobrze znał naszą rodzinę. W latach okupacji pracował w Międzyrzecu. Okoliczne tereny dziesiątkowała wtedy epidemia tyfusu. Rodzice opowiadali mi, jak ofiarnie jeździł do chorych. Cały czas był na furmankach, nie bał się, że się zarazi. Ciągłe był w drodze, jeździł do cierpiących w dzień i w nocy. Nie patrzył nawet na godzinę policyjną* – wspomina ks. dziekan Marian Daniluk, proboszcz parafii Narodzenia NMP w Białej Podlaskiej.



Uroczystości rocznicowe poświęcone pamięci ks. Edmunda Barbasiewicza w kościele pw. św. Antoniego w Białej Podlaskiej (5.08.2013r.)



Kiedy bp Czesław Sokołowski zdecydował o przeniesieniu ks. E. Barbasiewicza do Białej Podlaskiej, międzyrzeccy parafianie wystosowali do ordynariusza list. Prosimy w nim, by nie zabierał tak wspaniałego duszpasterza. Pisali też o jego zaletach: (...) *jako gorliwy i roztropny spowiednik, wiele dusz spośród ludu i inteligencji wyprowadził z bagna grzechu i zachęcił do pracy wewnętrznej nad sobą; (...) on wiele małżeństw żyjących bez ślubu skłonił do zawarcia ślubu w kościele...*¹ Podkreślali: *Posiadając jakiś dar psychologiczny, uprzedzał prośby ludzi będących w ciężkim położeniu materialnym... proponując im pomoc w formie pożyczki, ... czy zupełnie biednym w formie zasiłku bezzwrotnego*². Dodawali, iż *podziwu godne było jego codzienne odwiedzanie chorych w szpitalu*³. Podobny list wysłali później do biskupa także bialscy parafianie. O ks. E. Barbasiewiczu pisali: *ofiarny bez granic, niezmordowany spowiednik i kierownik ludzkich dusz...; (...) przy krótkich konfesjonale zobaczyliśmy takich, którzy od kilku lub kilkunastu lat wcale nie uczęszczali do sakramentów świętych*⁴.

Kiedy 1 października 1944 r. mianowano go rektorem bialskiego kościoła Matki Boskiej Anielskiej chyba nie zdawał sobie sprawy, że funkcję tą będzie piastował przez kolejne 30 lat. Świątynia i klasztor znajdowały się wówczas w całkowitej ruinie. Oba obiekty służyły podczas wojny i okupacji najpierw jako szpital, a potem jako magazyn. W niektórych pomieszczeniach utworzono mieszkania. Kościół nie nadawał się do sprawowania w nim kultu. Nowy rektor od razu podjął decyzję o remoncie. *Ksiądz z energią zabrał się do odbudowy świątyni i dosłownie z „niczego” obiekt został wyremontowany. Trzeba pamiętać, że o materiał było wtedy bardzo trudno. Ksiądz znalazł i materiały, i fundusze, i majstrów, i robotników*⁵.

Ks. E. Barbasiewicz równolegle podjął aktywną pracę z młodzieżą. Prowadził katechezę w liceum męskim i liceum żeńskim oraz w liceum dla dorosłych. W tygodniu miał aż 42 godziny lekcyjne⁶. *Jego lekcje religii nie ograniczały się do samej wiedzy liturgicznej, a były okazją do dyskusji na tematy bardziej ogólne, m. in. z dziedziny etyki oraz roli kościoła w świecie panoszącego się zła. Pytania rzucaliśmy nieraz bardzo kłopotliwe*⁷ – wspomina

¹ Ks. Roman Soszyński: *Jeśli się nawrócę ... to przez tego klechę. Ks. Edmund Barbasiewicz 1912-1978*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2000, nr 1, s. 47-55.

² Tamże, s. 47-55

³ Tamże, s. 47-55

⁴ Tamże, s. 47-55

⁵ Stefan Łysakowski: *Wspomnienie o księdzu Barbasiewiczu* [w:] *Ksiądz – Komentant*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2000, nr 4, s. 34-39.

⁶ Ks. Roman Soszyński: *Nekrolog ks. Edmunda Barbasiewicza*. „Wiadomości Diecezjalne Podlaskie” 1979, nr 4, s. 124-129.

⁷ Zbigniew Skolimowski: *Był człowiekiem nad wyraz skromnym* [w:] *Ksiądz – Komentant*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2000, nr 4, s. 40-41.

Zbigniew Skolimowski. Swoim uczniom służył także w konfesjonale. Duchowe kierownictwo przynosiło piękne owoce. Ks. Roman Soszyński wspominał: *Nie jestem w stanie dokładnie określić ilu jego bliskich uczniów obra-*



III zjazd Koleżeński Szkół Bialskich 14-15.09.1957 r. Na plebanii u księdza (od lewej): Zygmunt Wrześniowski, ks. Edmund Barbasiewicz, Stefan i Roman Łysakowski

ło stan duchowny, ale kiedyś na odpuszcie Matki Bożej Anielskiej, na który poprosił tylko swoich uczniów, kapłanów, naliczyłem dwudziestu dwóch. A przecież nie wszyscy przyjechali! (...) Również liczne jego uczennice obrały stan zakonny. Kiedyś „wydębilem” od niego, bo też niezbyt lubił rozmawiać na swój temat, że był już na profesji siedemnastu uczennic⁸. Przez długie lata utrzymywał kontakt ze swoimi wychowankami. Był zapraszany na śluby i chrzciny. Ksiądz nigdy nie odmawiał w potrzebie, a właśnie wtedy zakładaliśmy rodziny. Iluż to moim kolegom, a dawnym druhom i uczniom bialskich gimnazjów, dawał ślub w Warszawie!⁹ – pisze Stefan Łysakowski. Henryk Czarakowski przypomina o innym ciekawym szczególe: (...) nasz ksiądz profesor, czy później rektor, nie miał w zwyczaju brania pieniędzy od nas, swoich wychowanków. Ani za śluby, chrzty czy pogrzeby (a w ogóle, to był on dla tych

⁸ Ks. Roman Soszyński: *Jeśli się nawrócę... to przez tego klechę. Ks. Edmund Barbasiewicz 1912-1978*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2000, nr 1, s. 47-55.

⁹ Stefan Łysakowski: *Wspomnienie o księdzu Barbasiewiczu* [w:] *Ksiądz – Komentant*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2000, nr 4, s. 34-39.

innych za mądry). Do nas mawiał: „Co mi tam płacić będziecie, sami jesteście biedni jak przysłowiowe myszy kościelne”. Tę jego postawę wspomina do dziś wiele koleżanek i kolegów. I nie były to sporadyczne przypadki ¹⁰. W podobnym tonie wypowiada się Henryk Szulc z Rybnika. Wspomina, jak wysłał mu zaproszenie na swój ślub. Uroczystość miała się odbyć w Lublińcu na Śląsku. Ks. E. Barbasiewicz przybył na tę ceremonię pociągiem. Po pewnym czasie państwo Szulcowie odwiedzili zanego kapłana. Przy okazji wizyty poprosili o odprawienie Mszy św. Kiedy chcieli wręczyć ofiarę, usłyszeli: *Liturgia oczywiście będzie odprawiona – w określonym terminie, ale ewentualny dar proszę włożyć do skarbonki kościelnej, wraz ze złożonym oświadczeniem. Ja nie modłę się za pieniądze* ¹¹. Zawsze miał czas na spotkania z byłymi wychowankami. Nie stronił od rozmów i dyskusji. Nie bał się trudnych pytań. Nikogo nie krytykował, nie oburzał się. *Posiadał ogromną wiedzę, był dowcipny, służył wszystkim radą i pomocą (...)* Potrafił patrzeć tymi swoimi oczami... tak jakoś do środka ¹².



Komenda Hufca ZHP w Białej Podlaskiej, fot. 1946 r., ze zbiorów Wacława Kononowa. Stoją (od lewej) Maciej Cepryński, Włodzimierz Kowalski, Tadeusz Rossa, Mieczysław Czudowski, Siedzą: Kazimierz Waszczuk, ks. Edmund Barbasiewicz, Franciszek Ujma.

¹⁰ Henryk Czarkowski: *Zaiste... ciekawy był to kapłan* [w:] *Ksiądz – Komendant*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2000, nr 4, s. 39-40

¹¹ Henryk Szulc: *Wspomnienia z lat, które minęły – dla potomnych*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2011, nr 3, s. 47-57.

¹² Henryk Czarkowski: *Zaiste... ciekawy był to kapłan* [w:] *Ksiądz – Komendant*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2000, nr 4, s. 39-40.

Wspominając ks. E. Barbasiewicza nie można pominąć wątku harcerskiego. Swoją przygodę z harcerstwem rozpoczął w latach młodości. Ks. Roman Soszyński podkreślał, że ta pasja najbardziej uzewnętrzniła się w tym aktywnym kapłanie właśnie w Białej Podlaskiej. W mieście nad Krzną uczestniczył w zakładaniu i prowadzeniu drużyn¹³. Był kapelanem Bialskiego Hufca Harcerzy. Pełnił też funkcję komendanta. Zależało mu, by harcerstwo działało na zasadach przedwojennych. Roman Łysakowski wspomina, że ks. E. Barbasiewicz *robił co mógł, by utrzymać hufiec i zachować stare tradycje wśród jego członków*¹⁴. Wielu druhów z sentymentem opowiada o wspólnym obozie w Zakopanem (ostatnim przed reformą organizacyjną ZHP). Stefan Łysakowski podkreśla, iż ks. E. Barbasiewicz był *duszą przedsięwzięcia*. Razem z druhami modlił się, chodził na wycieczki, odbywał ćwiczenia i leśne prace. Zawsze chodził w sutannie¹⁵. *To on zaszczerpił we mnie zamiłowanie do harcerstwa. Lubił przygodę, często zabierał nas [kleryków] na wycieczki i spacerować za miasto. Nie szliśmy wyznaczonymi drogami. Na pytanie, dokąd idziemy, mówił tylko – „synku, na azymut”. Nierzadko zabierał ze sobą busolę. Pamiętam, jak nie raz brnęliśmy razem po śniegu. Znał nazwy wielu zwierząt i ptaków. Zachwycał się pięknem przyrody. Pamiętki harcerskie, które mi przekazał potraktowałem jako zobowiązanie, by dalej nieść te wspaniałe tradycje. Swoje przyrzeczenie harcerskie składałem właśnie przy grobie ks. Barbasiewicza. Kiedy w 1984 r. zakładałem niezależne harcerstwo w Garwolinie, dalej byliśmy wierni zasadom przedwojennym – zaznacza ks. M. Daniluk.*

Bardzo ciepło o ks. E. Barbasiewiczu mówią także parafianie z Białej Podlaskiej. Rektor kościoła św. Antoniego mieszkał razem z rodzicami w pomieszczeniach przykościelnych. Do jego mieszkania pukały rzesze potrzebujących. Interesanci czekali wszędzie, gdzie tylko się dało – przy kościele, obok gimnazjum i na podwórku. Stefan Łysakowski wspomina: *Ileż to razy słyszałem [od gospodyni] sakramentalne: „Księdza nie ma, a będzie dopiero wieczorem”, albo „proszę wejść, ksiądz się trochę spóźni”*. Niektórych mama księdza częstowała herbatą, parzoną na skórkach z jabłek¹⁶. Zdzisław Jobda w książce „Biała w mojej pamięci” pisze: *Był księdzem, który w doskonały sposób potrafił wpływać szczególnie w trudnych okresach na charaktery ludzkie. Często nazywany był Architektem Dusz. Wielokrotnie zastanawiałem się, czym szczególnie się wyróżniał, że przyciągał do siebie tyle życzliwych osób.*

¹³ Ks. Roman Soszyński: *Jeśli się nawrócę... to przez tego klechę*. Ks. Edmund Barbasiewicz 1912-1978. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 200, nr 1, s. 47-55.

¹⁴ Roman Łysakowski: *Fascynujące harcerstwo. Cz. II*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 1999, nr 3-4, s. 42-53.

¹⁵ Stefan Łysakowski: *Wspomnienie o księdzu Barbasiewiczu [w:] Ksiądz – Komendant*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2000, nr 4, s. 34-39.

¹⁶ Tamże, s. 35.

Nie głosił porywających patriotycznych kazań w stylu Piotra Skargi dla tłumów, a składał się raczej do homilii filozoficznych, a mimo to słuchały go tłumy¹⁷. Wylicza, że ks. Barbasiewicz podbijał serca ludzi niezwykłą skromnością, uśmiechem, który miał dla wszystkich, i darem słuchania. Jego pogoda ducha i życzliwość nie uszły uwadze tych, którzy go spotykali. Miał ogromny dar wyzwalania w ludziach tego, co dobre, niezależnie od tego, kto, do jakiej partii należał, bo w gruncie rzeczy problem nie leży w przynależności, a w człowieku, do czego jest zdolny i co czyni. Dobro, czy zło. (...) stworzył przy pomocy księdza Emila Dadeja ze świętyni prawdziwe miejsce braterstwa i pojednania, które było w tych czasach potrzebne jak tlen do oddychania¹⁸.

W tym miejscu znów warto przytoczyć słowa ks. Romana Soszyńskiego: *Wiem, że białczanie cenili go bardzo, a i on darzył ich szczególną sympatią. Kiedy byłem pewnego razu na imieninach księdza prefekta, zobaczyłem obłany czekoladą wielki piernik.*

*W środku tego piernika „wydrapane” były kontury kościoła św. Antoniego, a wokół skrótowe nazwy różnych organizacji, w których ks. Edmund Barbasiewicz aktywnie działał: TPZ, PKOS, LOPP, ZHP, LOIK, TBS, PHZ i inne. Umieszczony w otoku piernika napis głosił: Oto obraz serca Twego – w kawałki rozszarpanego*¹⁹.

O ks. E. Barbasiewiczzu pamiętają także bracia kapucyni. *Mamy taki zwyczaj, iż codziennie przed obiadem modlimy się za naszych zmarłych braci, przyjaciół, dobrodziejów i ofiarodawców. Ich imiona spisane są w specjalnej księdze. Pod datą 5 sierpnia mamy wpisanego ks. E. Barbasiewicza. Czytamy tam m. in., że jako rektor kościoła św. Antoniego przyczynił się do przekazania tejże świątyni oraz klasztoru poreformackiego zakonowi braci kapucynów. W 1972 r. został afiliowany do prowincji warszawskiej. Odznaczał się wielkim*



Portret ks. E. Barbasiewicza
w klasztorze Braci Mniejszych
Kapucynów w Białej Podlaskiej

¹⁷ Zdzisław Jobda: *Biała w mojej pamięci*, Biała Podlaska: Civitas Christiana, 2000. ISBN 83-913353-0-5, s. 155.

¹⁸ Tamże, s. 156.

¹⁹ Ks. Roman Soszyński: *Jeśli się nawrócę... to przez tego klechę. Ks. Edmund Barbasiewicz 1912-1978*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2000, nr 1, s. 47-55.

umiłowaniem ducha franciszkańskiego – cytuje br. Piotr Zajączkowski. Afiliacja to tzw. usynowienie, włączenie w rodzinę i pozwolenie na korzystanie z praw i przywilejów w niej obowiązujących.

W 1972 r. ks. E. Barbasiewicz został rektorem diecezjalnego seminarium duchownego. Temu miejscu oddał się bez reszty. Czuwał nie tylko nad funkcjonowaniem placówki. W międzyczasie wykładał, spotykał się z klerykami i... nadzorował rozbudowę skrzydła seminarium. Co więcej, sam pracował na placu budowy. Często odwiedzaliśmy księdza w Siedlcach. Kiedyś, pamiętam, pokazał mi budowane seminarium. Rozmawiając, chodziliśmy po rusztowaniach. Tak, jak kiedyś w Białej Podlaskiej „z niczego” uruchomił kościół św. Antoniego, tak teraz tutaj budował seminarium. Jak wynikało z rozmowy, swoje wakacje poświęcił na wożenie taczkami wapna i noszenie cegieł, bo jak mówił: „każde ręce są tu potrzebne”²⁰. Budowa trwała cztery lata. W nowym skrzydle utworzono mieszkania dla kleryków, duży refektarz, bibliotekę, aulę i kaplicę²¹. Seminarium było jego „oczkiem w głowie”. Wykładał teologię moralną. Zawsze dobrze przygotowany do wykładów, które były bardzo logiczne i poukładane. Miał świetny talent pedagogiczny. Widać było, iż lubił pracę z młodzieżą i ze studentami. Wymagający, jako egzaminator. Oceniał obiektywnie, ale nie przypominam sobie, by któryś z kleryków na niego narzekał. Pamiętam, iż przez pewien czas, już jako rektor, zastępował ojca duchownego. Prowadził wówczas systematyczne rozmyślenia; bazując na listach św. Pawła głosił konferencje ascetyczne. Zwracał uwagę na zasady dobrego wychowania. Prowadził nawet wykłady *savoir vivre*. Nie żałował nam swojego czasu, mimo iż był zajęty rozbudową seminarium. W tamtych czasach zdobycie materiałów budowlanych graniczyło z cudem. Wiem, że wykorzystywał swoje znajomości, które zawarł jeszcze podczas pracy w Białej Podlaskiej. Był tam bardzo lubiany. Wielu jego uczniów piastowało wysokie stanowiska i on bardzo często zwracał się do nich w razie potrzeby. Nierzadko podczas wykładów i kazań wracał do czasów bialskich – opowiada ks. prof. dr hab. Edward Jarmoch. A rozpoczynał wtedy tak: „Pewien ksiądz EB [Edmund Barbasiewicz] z miasta B [Biała Podlaska]...”

Ks. E. Barbasiewicz był też autorem katechizmu „Idę do Ciebie Jezu”, z którego korzystało kilka pokoleń małych diecezjan. Podstawowe zasady naszej wiary zawarł w formie katechizmu. Był to bardzo pionierski katechizm. W tamtych czasach nie mieliśmy tak wielu metod nauczania, jak dzisiaj, brakowało także książek do nauki religii. Jeden ze studentów Instytutu Teologicznego w Siedlcach pisał nawet pod moim kierunkiem pracę magisterską o tym

²⁰ Stefan Łysakowski: *Wspomnienie o księdzu Barbasiewiczu* [w:] *Ksiądz – Komentant*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2000, nr 4, s. 34-39.

²¹ Ks. Roman Soszyński: *Nekrolog ks. Edmunda Barbasiewicza*. „Wiadomości Diecezjalne Podlaskie” 1979, nr 4, s. 124-129.

katechizmie. W ten sposób chcieliśmy uczcić ks. E. Barbasiewicza – mówi ks. profesor. Wspominając swego rektora z seminarium przywołuje też pewną wzruszającą sytuację. Ks. Barbasiewicza poznałem w 1972 r. Mój rocznik jako jedyny mógł cieszyć się jego obecnością przez cały cykl nauki w seminarium. Pamiętam, jak na trzy miesiące wyjechał na misje do Afryki. Wrócił chory i zaraz trafił do szpitala. Po powrocie prosił, by zanieść go do seminarijnej kaplicy. Klerycy wnieśli go tam na noszach. Wiedział, że gaśnie i odchodzi. Byłem wtedy na szóstym roku. Razem z kolegami zdawaliśmy egzamin z teologii moralnej, tzw. rygorozum. Wszystko odbywało się... przy łóżku chorego ks. rektora. To było dla nas ogromne przeżycie – wspomina ks. prof. E. Jarmoch.

Ks. M. Daniluk poznał ks. Barbasiewicza w 1974 r. Były między nimi więzy przyjaźni, co przecież nie zdarza się zbyt często. Zawsze można było do niego przyjść i porozmawiać. Nie stwarzał dystansu, ale jednocześnie cieszył się wielkim szacunkiem. Był dla nas autorytetem. Widzieliśmy w nim człowieka modlitwy i wielkiego humanistę. Odwiedzałem go, gdy leżał chory. Prosił, bym mu czytał. Często, żartując, kazał mi wybrać jakąś książkę ze swojej ogromnej biblioteki. Zbiory zajmowały całą ścianę. Pytał o tytuł losowo wybranej książki, a potem z pamięci przytaczał nazwy rozdziałów i opowiadał ich treść. Na wykładach cytował „Trylogię”. Przed śmiercią pozostawił mi wiele pamiątkowych rzeczy – mówi ksiądz dziekan. Dopowiada, że ks. Barbasiewicz był wrażliwy na ludzką biedę. Sam żył bardzo skromnie. Pamiętam, jak otrzymał paczkę z parą rękawic. Do przesyłki dołączony był liścik: „Chociaż byle jakie, ale przynajmniej jednakowe”. Kochał ludzi. Zależało mu, by pogłębiali nie tylko swoją wiarę, ale także i wiedzę. Kiedy myślę o seminarium, od razu przypominam sobie jego postać – podsumowuje ks. M. Daniluk.

Ks. E. Barbasiewicz zrezygnował z posługi rektora kościoła św. Antoniego w 1972 r. Pierwszym gwardianem został wtedy o. Antoni Pacyfik Dydycz (obecnie biskup). Obaj duchowni znali się i przyjaźnili. Pamiętam go z różnych okresów jego życia. Kiedy byłem chłopcem, on przybywał do Serpelic na wypoczynek. Tamte krótkie spotkania robiły na mnie dobre wrażenie; już wtedy postrzegałem go, jako człowieka, który zawsze ma coś mądrego



Grób ks. E. Barbasiewicza na cmentarzu parafialnym w Białej Podlaskiej

do powiedzenia i zaofiarowania innym. Kiedy byłem w Lublinie, wielokrotnie prosił mnie o prowadzenie zamkniętych rekolekcji dla maturzystów. Te 3-4 dniowe spotkania organizowaliśmy w Leśnej i Serpelicach. Oprócz zwykłych cech kapłańskich dostrzegaliśmy u niego niesamowitą subtelność i kulturę w kontaktach i relacjach z innymi. Z ks. prałatem można było i żartować, i rozmawiać na poważne tematy – wspomina bp. A. P. Dydycz. Opowiada też o ostatnich odwiedzinach u ks. E. Barbasiewicza. Prosto od niego miałem jechać do Orchówka koło Włodawy. Kiedy mu o tym powiedziałem, wyznał, że chce jechać razem z nami. Powiedziałem mu: Ksiądz prałat zawsze jest z nami. Zmarł na drugi dzień – wspomina ordynariusz.

Trudno nie zawrzeć tu pięknych słów Stefana Łysakowskiego: Kiedy wspominam dzisiaj księdza Barbasiewicza, mam przed oczami postawnego kapłana, w przyszarzałej, pocerowanej sutannie, z niebieskimi oczami i jasnymi brwiami. Co najbardziej uderzało w tej postaci, to uśmiech. Gdy śmiał się, to nie z jakimś zdawkowym półuśmiechem. Uśmiech księdza był szeroki, obejmujący nie tylko twarz, ale jakby całą osobę. Był to uśmiech przesycony jakąś wewnętrzną radością, promieniujący z całej postaci, uśmiech udzielający się, zaraźliwy. Tym uśmiechem „nasz ksiądz” zyskiwał przychyłność rozmówców i rozbierał adwersarzy. Jego choroba i nazbyt wczesne odejście wstrząsnęło mną i całym naszym środowiskiem uczniowsko-harcerskim. Była to jeszcze jedna nauka, dana nam przez księdza zza grobu, że każde życie ludzkie – w każdej chwili – może zostać zdmuchnięte, jak świeczka²². Henryk Czarkowski dodał: Jako ów „klejnot w koronie” jawi mi się nieprzeciętna postać kapłana i wykładowcy księdza Edmunda Barbasiewicza. Zawsze skromny, rozważny i poważny, a zarazem pełen urokliwego dobra, taki niby z dystansem, a jakże bliski²³. Na pytania o postawę wobec komunizmu, zalecał, by zawsze dawać świadectwo odważnej wiary w Boga, kształcić prawe sumienie, zachowywać szacunek dla ojczystej tradycji i uzupełniać rzetelną wiedzę²⁴.

Ks. R. Soszyński trafnie zauważył, iż ks. E. Barbasiewicz powierzone mu zadania podejmował bez jakiegokolwiek sprzeciwu i starał się je następnie jak najrzetelniej wypełnić. Był człowiekiem niesłuchanie pracowitym²⁵. Bp. Jan Mazur powiedział o nim: Miałem w nim kapłana, który każdą pracę umiał

²² Stefan Łysakowski: *Wspomnienie o księdzu Barbasiewiczu* [w:] *Ksiądz – Komendant*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2000, nr 4, s. 34-39.

²³ Henryk Czarkowski: *Zaiste... ciekawy był to kapłan* [w:] *Ksiądz – Komendant*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2000, nr 4, s. 39-40.

²⁴ Stefan Łysakowski: *Wspomnienie o księdzu Barbasiewiczu* [w:] *Ksiądz – Komendant*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2000, nr 4, s. 34-39.

²⁵ Ks. Roman Soszyński: *Jeśli się nawrócę... to przez tego klechę. Ks. Edmund Barbasiewicz 1912-1978*. „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 2000, nr 1, s. 47-55.

podjąć, omodlić ją i wykonać więcej niż na miarę jego zdolności²⁶. Kiedy ks. rektor leżał złożony ciężką chorobą, ordynariusz diecezji prosił go, by nie oddawał swojego cierpienia za darmo, ale ofiarował je Bogu za trzydziestu alumnów do siedleckiego seminarium²⁷. Ks. E. Barbasiewicz żegnał rzesze ludzi. Na pogrzeb przybyło ponad 150 kapłanów²⁸. Ciało zostało złożone na cmentarzu parafialnym w Białej Podlaskiej.

Na zakończenie warto przytoczyć jeszcze jeden cytat ze wspomnień ks. R. Soszyńskiego. *Gdy spotkałem go kiedyś, zapytałem: Powiedz mi, jak sobie radzisz, mając tyle trudności przed sobą i przeciw sobie? Spojrzał na mnie z niedowierzaniem i odpowiedział: „Trudności?! Staram się ich nie widzieć!”*²⁹. Niech te słowa towarzyszą również, w naszej codzienności...

Biogram

Ksiądz dr Edmund Barbasiewicz urodził się 28.01.1912 r. w Węgrowie. W 1931 r. wstąpił do Podlaskiego Seminarium Duchownego w Janowie Podlaskim. Świecenia prezbiteriatu przyjął 20.06.1937 r. z rąk bp. Henryka Przeździeckiego. Przez kilka miesięcy pracował jako wikariusz w parafii św. Józefa w Międzyrzecu Podlaskim; potem otrzymał nominację na prefekta Seminarium Mniejszego w Siedlcach. W lutym 1940 r. z powodu wojny trafił do rodzinnego Węgrowa. Przez rok posługiwał tam jako wikariusz. Następnie objął funkcję administratora parafii św. Józefa w Międzyrzecu Podlaskim. W sierpniu 1942 r. przeniesiony został do parafii Wniebowzięcia NMP w Białej Podlaskiej. Równocześnie posługiwał jako wiceproboszcz w bialskiej parafii św. Anny. W dniu 01.10. 1944 r. uzyskał nominację na rektora kościoła Matki Boskiej Anielskiej w Białej Podlaskiej (dziś św. Antoniego). Pracował jako katecheta w liceum męskim i żeńskim, uczył w liceum dla dorosłych. Posługiwał również jako kapelan Bialskiego Hufca Harcerskiego oraz Trzeciego Berlińskiego Pułku Piechoty. W 1950 r. uzyskał tytuł magi-



²⁶ Tamże, s. 53.

²⁷ Tamże, s. 47.

²⁸ Tamże, s. 52.

²⁹ Tamże, s. 55.

stra teologii moralnej na Uniwersytecie Warszawskim. Rok później na tej samej uczelni otrzymał tytuł doktora, za rozprawę „Psychologia wyznania grzechów na spowiedzi”. W 1953 r. uzyskał tytuł magistra prawa kanonicznego. Podczas posługi w Białej Podlaskiej. organizował nauczanie religii przy kościele św. Antoniego, był sędzią prosynodlanym Sądu Biskupiego i konsulatorem Sekretariatu Episkopatu do spraw „super rato”. Dwudziestego pierwszego kwietnia 1956 r. otrzymał nominację na profesora teologii moralnej w Seminarium Duchownym w Siedlcach. Był kanclerzem kurii siedleckiej i oficjałem sądu biskupiego. W 1960 r. otrzymał tytuł kanonika, w 1973 r. prałata. 21.09.1972 r. mianowano go rektorem Siedleckiego Seminarium Duchownego. Zmarł 5 sierpnia 1978 r. Pochowany został na cmentarzu parafialnym w Białej Podlaskiej.



Alina Wojniakiewicz (z d. Daniluk)
(Biała Podlaska)

Młodość i wojna: wspomnienia z lat 1939-1944

Przed wybuchem wojny – w Walinnie i w Bialej

W 1939 r. mieszkaliśmy w Walinnie, poczta Komarówka Podlaska, gmina Brzozowy Kąt (siedziba w Wiskach). Miałam wtedy 10 lat i chodziłam do czwartej klasy w Walinnie; we wrześniu miałam pójść do piątej klasy w Kolembródach (3 km). Dziewięcioletnia Basia była w trzeciej klasie, a pięcioletnia Terenia poszła do pierwszej (tak jest! w wieku 5 lat!).

Nasz biały dom był już postawiony, ale wewnątrz prowadzone były jeszcze prace wykończeniowe. W ogrodzie leżały rury wodociągowe, którymi miała być doprowadzona woda do mieszkań. Zbiornik na wodę znajdował się na strychu. Kupione już były pustaki i wiele innych materiałów budowlanych, na komórki oraz domek letni z pralnią. Wszystkie te materiały zostały później zabrane przez pracowników niemieckich oraz zużyte do budowy jakiegoś domu na ul. Warszawskiej. Mimo tego, że dom nie był jeszcze całkowicie wykończony, zgłaszali się już chętni na wynajęcie mieszkania. Nie przerażała ich zbyt krótki brak bieżącej wody. Sedesy były już zamontowane, wanny zamówione na wrzesień, tak więc, wkrótce miała być woda. Od wiosny mieszkali już lokatorzy: na górze Dajblerowie – z córeczką Hanią, w drugim mieszkaniu kawalerzy – Leonard Dunicz i J. Korona, na dole Radzikowie – z synkiem Marcekiem, oraz Syrkowie – z córeczką Zosią. Mężczyźni mieszkający w naszym domu byli zatrudnieni w Podlaskiej Wytwórni Samolotów w Bialej Podlaskiej.

Nasza sytuacja materialna była jednak ciężka. Brakowało pieniędzy na wykończenie domu. Murarze, a także inni robotnicy, zgodzili się pracować w okresie letnim bezpłatnie, a wynagrodzenie otrzymać dopiero zimą. Także dostawcy materiałów budowlanych godzili na zapłatę w późniejszych terminach. Tatuś posadził już nawet drzewa owocowe (jesienią 1938 r.). Plac przy domu ogrodzony był sztachetami, natomiast dalsza jego część nie miała ogrodzenia (całość zajmowała powierzchnię ponad 1 ha). Nasz plac był dość dużym klinem, położonym między torami kolejowymi a ulicą Witoroską. W rogu rósł duży dąb, a obok znajdował się duży dół, z którego wybierano żwir.

Furtka znajdowała się naprzeciw drzwi frontowych, a brama wjazdowa naprzeciw komórek (z boku placu). W okresie letnim przez jakiś czas mieszkaliśmy wszyscy w Białej Podlaskiej. Tatuś musiał pilnować budowy, a Mamusia pomagała mu oraz gotowała dla nas i robotników obiady. A my, dzieci, przyjemnie spędzaliśmy czas w nowym otoczeniu. Spaliśmy w przystosowanej do zamieszkania komórce, z podłogą i kuchenką.



Maria i Franciszek Daniluk



Alina Daniluk



Barbara Daniluk



Teresa Daniluk

We wrześniu 1939 r. nie mieliśmy żadnych zapasów żywności, a także innych produktów codziennego użytku, na wypadek wojny. Nie mieliśmy na to pieniędzy. A wojna wisiała na włosku. Wielu mężczyzn – rezerwistów już od wiosny było zmobilizowanych. Także i w sierpniu dostawali karty mobilizacyjne. Bardzo bałam się wojny, po nocach śniły mi się armaty, strzały, byli zabici. Bałam się, żeby Tatusia nie wzięli do wojska.

1 września 1939 roku

Rano o godz. 5⁰⁰ usłyszeliśmy huk bomb i przeciągłe buczenie samolotów. Zaczęła się wojna. Rodzice chyba z radia się o tym dowiedzieli. Od rana bombardowano Białą Podlaską. Baliśmy się, że może także zostać zburzony nasz dom, gdyż znajdował się blisko torów kolejowych, a i stosunkowo niedaleko było do Podlaskiej Wytwórni Samolotów. Jak się później dowiedzieliśmy, dyrektor fabryki (Żyd) był szpiegiem i wcześniej dał znać Niemcom, gdzie mają zrzucać bomby. Od razu, już w pierwszym dniu wojny, całkowicie zniszczono fabrykę samolotów – hangary (z samolotami) i lotnisko. Ani jeden z samolotów nie wzleciał.

Nastroje wojenne

Jako dzieci bardzo mocno przeżywałyśmy pierwsze dni wojny. Ciągłe było słycać buczenie bombowców i huk spadających bomb. Bombardowana była Biała i twierdza w Brześciu n/Bugiem. Czasami samoloty przelatywały bardzo nisko, a lotnicy strzelali do pracujących w polu ludzi.

Wszystkie nasze plany rodzinne rozsypały się jak domek z kart. Nie poszłam do szkoły w Kolembrodach, rodzice nie mogli wziąć pieniędzy z PKO, stąd nie można było wykończyć naszego domu w Białej. Zostaliśmy bez pieniędzy i bez zapasów. Od września nie mieliśmy już służącej, bo nie było czym dla niej płacić. Szkoła była nieczynna. Rodzice nie pracowali, stąd nie mieli nadziei na otrzymanie pensji. Przez naszą wieś przechodziło mnóstwo ludzi, uciekających z Warszawy oraz z zachodniej części Polski. Zatrzymywali się u nas na noc. Nocowali w klasach lub w szopie na sianie. Wtedy mieliśmy jeszcze krowę i kury. Po drugiej stronie drogi znajdował się nasz ogród z ziemniakami i warzywami, a na podwórzu, przy studni, rosły pomidory. Uciekinierzy chodzili po żywność na wieś – do gospodarzy. W sklepach wiejskich nic już nie można było kupić. Najgorzej było z cukrem i solą.

Uciekinierzy

Chyba w drugim dniu wojny przyjechali do nas bialscy lokatorzy Dajblerowie i Syrkowie – z dziećmi. Zamieszkali w klasach szkolnych, a gotowali u nas w kuchni. W następnych dniach wojny grono uciekinierów powiększyło się. Przybyła starsza pani (kuzynka p. Gibkiego, chrzestnego Tereni) z 6-letnim wnuczkim, pani sędzina – ze służącą i malutkim pociesznym pieśkiem, trzech junaków z Bydgoszczy (Krzysztof, Zbigniew i Bruno), pani z Argentyny – z Anetką. Było więc 15 uciekinierów, nas 5 osób – razem 20 osób. Ludzie ze wsi nie martwili się zbyt tym, że jest wojna. Niepokoili się jedynie ci, u których ktoś z rodziny był zmobilizowany. Niektórzy nawet się cieszyli, że podróżowała żywność, że nie będą musieli płacić podatków.

Zabawa w obronę przeciwlotniczą

Słyszeliśmy, że ludzie budują schrony przeciwlotnicze, więc i my, dzieciaki, z pomocą chłopaków od sąsiadów wykopaliśmy na piaszczystym boisku szkolnym rów o głębokości ok. 1,5 m. Przykryliśmy go deskami, zamaskowali piaskiem. Chowaliśmy się tam, gdy tylko usłyszeliśmy warkot samolotów. Szybko jednak schron się nam zasypał, gdyż nie był porządnie utwardzony. Całe szczęście, że nikomu nic się nie stało.

Ucieczka mężczyzn za Bug

Po apelu z Warszawy, aby mężczyźni w sile wieku udawali się na wschód, gdyż właśnie tam będzie organizowana obrona Polski przed Niemcami, nasi mężczyźni też tam wyruszyli. Tatuś, Dajbler i Syrek zaopatrzyli się w żywność, w odpowiednie ubrania... i pojechali rowerami na wschód. Mamusia pożyczyła moją damkę p. Dajblerowi. W zastaw za rower dał nam swoją obręczkę. Okazało się później, że już nie wrócił. Bardzo mi brakowało tego roweru, zwłaszcza wtedy, kiedy chodziłam do szkoły w Komarówce. Jak później dowiedzieliśmy się, zbyt daleko tymi rowerami nie ujechali, gdyż natknęli się na Sowietów. Wrócili więc. Tylko Dajbler, który miał wygląd żydowski, wołał nie wracać. Udało mu się później przedostać za granicę.

Sowieci w Walinnie

Sowieci pojawili się w Walinnie pod koniec września. Ludzie na wsi cieszyli się, że jest wojna, że nie będą musieli płacić podatków. Jeden z gospodarzy powiedział do Mamusi: *Skończyło się wasze panowanie, teraz będzie nasza władza*. Na domach rozwieszono zostały plakaty, na których Niemiec i Sowiet się ściskają. Sowieccy żołnierze zajęli klasy szkolne, a także jeden z naszych pokoi (dla lejtnanta). Było nas wtedy 16 osób, stłoczonych w pokoju i kuchni. Junacy spali w kuchni na podłodze. Sowieci chcieli ich aresztować. Bardzo trudno im było wytłumaczyć, że to nie wojskowi, bowiem nosili zielone ubrania. Przed drzwiami wejściowymi do domu stali wartownicy. Jeden z nich towarzyszył każdej z osób, która udawała się do ubikacji. W tej sytuacji wołałyśmy chodzić gromadą. Nie można też było wychodzić bez eskorty na wieś, ani do ogrodu – po warzywa lub ziemniaki.

Obok naszego ogrodu znajdowała się łąka z sadzawką. Żołnierze prali tam swoją bieliznę i suszyli na łące, a sami chodzili nago. Nie mogliśmy więc chodzić do ogrodu po warzywa, bo bardzo ich bałyśmy się. Tylko mężczyźni wychodzili do ogrodu. Jednego razu zatrzymali na wsi Tatusia i chcieli go aresztować, za to, że „miał zbyt białe ręce”. Dopiero po długim tłumaczeniu się odprowadzili go do domu, aby się upewnić, czy rzeczywiście jest nauczycielem. Także w gajówce Pustosza stacjonowali sowieccy żołnierze. Zrobili so-

bie ubikację w domu gajowego. W jego pokoju stała duża szafa z szufladą (na dole), więc się do niej załatwiali.

Pewnego dnia Sowietci prowadzili przez wieś dużą grupę polskich jeńców wojennych. Nasi żołnierze byli strasznie zmęczeni; nie pozwolono im jednak zatrzymać się, a dla nas, podać im wody. Kilku polskich oficerów przyprowadzono na nasze podwórko i chciano ich w pobliżu piwnicy rozstrzelać. Mamusia z płaczem interweniowała u lejtnanta, a myśmy klęczały i odmawiałyśmy „Pod Twoją obronę”. Na szczęście do egzekucji nie doszło! Poprowadzili ich dalej. Ale co się z nimi stało, nie wiadomo? Być może zginęli w Katyniu? Po tygodniu Sowietci odeszli, gdyż Stalin z Hitlerem dogadali się w sprawie granicy na Bugu. Odetchnęliśmy z ulgą. Trudno było się z nimi dogadać, mimo tego, że język nasz był podobny i w zasadzie rozumieliśmy co do nas mówili. Bardzo ich baliśmy się.

Niemcy w Walinnie

Po kilku dniach przyjechali na motocyklach Niemcy. Rozmawiali z Tatusem po niemiecku. Zachowywali się zupełnie inaczej niż Sowietci. Byli czysti, grzeczni. Klasę w szkole zajęli tylko na jedną noc. Prosili o wodę na herbatę, nie okazywali wobec nas wrogości. Następnego dnia nad ranem odjechali.

Niemcy w Komarówce

Niemcy utworzyli w Komarówce posterunek. Zajęli na ten cel budynki Szkoły Powszechnej i Rolniczej, a także posterunek policji. Od razu zabrali się za sprzątanie, porządkowanie ulic oraz otoczenia budynków. Zatrudniali do tych prac miejscowych Żydów. Prowadząc ich do pracy zazwyczaj zmuszali do śpiewania takiej oto piosenki: *Gdy był Śmigły Rydz nie nauczył nas nic, a Hitler ek złoty nauczy nas roboty*. To volksdeutsche pomagali Niemcom „zagospodarować się” u nas, sami Niemcy nic by nie zdziałali. W pobliskich wsiach mieszkali Niemcy – koloniści i to właśnie jako pierwsi zgłosili się do pomocy przy organizacji miejscowej policji oraz lokalnej administracji.

Zima 1939/40 w Walinnie

Nauka w szkole przywrócona została dopiero w zimie. Dzieci można było wówczas uczyć pisania, czytania oraz rachunków. Zeszytów nie było gdzie kupić, więc pojawiły się tabliczki z rysikami. Oszczędzaliśmy również te zeszyty, które mieliśmy jeszcze w zapasie. W szkole uczył tylko Tatuś; Mamusia niestety została zwolniona z pracy. Tatuś dostawał przedwojenną pensję, w kwocie 200 zł, w sytuacji kiedy ceny były kilka lub kilkanaście razy wyższe. Mamusia uczyła dzieci na tajnych kompletach, tych przedmiotów, które



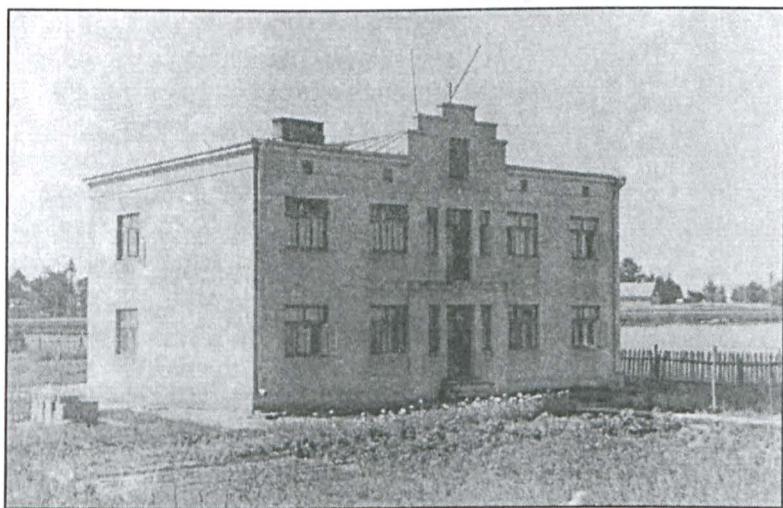
Ogólny widok Walinny



Budynek szkoły powszechnej w Walinnie. Fot. 1940 r.



Dzieci szkolne z Walinny. Fot. 1934 r.



Dom rodziny Daniluków w Białej Podlaskiej. Fot. 1939 r.

były przez Niemców zakazane. Na komplety przychodziły te dzieci, które chciały w przyszłości pójść do gimnazjum lub chociażby ukończyć siedem klas, a nie tylko czteroklasową szkołę w Walinnie.

Niemcy kazali przekazać wszystkie posiadane radioodbiorniki do urzędów gminnych. Także książki z biblioteczki szkolnej trzeba było oddać. Aby ich nie oddać na zniszczenie sporządziliśmy nowy spis inwentarzowy. Trochę mało wartościowych książek oddaliśmy do gminy, a resztę ukryliśmy w szopie pod słomą. Książki te czytaliśmy wieczorami na głos oraz wypożyczaliśmy dzieciom ze wsi.

Stryjek Kazik z rodziną – u nas (zima 1939/40 r.)

Stryjek Kazik (brat Tatusia) był policjantem w Lubawie k/Brodnicy. Na początku września został wraz z rodziną ewakuowany i przez jakiś czas mieszkał w Bezwoli (w Krzakach) – w domu ojca oraz brata Ludwika. Było tam bardzo



Kazimierz Daniluk

ciasno, więc po jakimś czasie przenieśli się do nas. Stryjenka Zosia, z zawodu krawcowa, umiała robić na drutach oraz szydełkować. Mieli dwóch synów: Tadzika (6 lat) i Romka (6 mies.). Zamieszkali w małym pokoju. Stryjek pomagał Tatusiowi w gospodarstwie, razem też gotowali, a Mamusia ze stryjenką wzięły się za robotę na drutach – swetrów, skarpet, rękawic, itp. Czasami stryjenka coś szyła, lepiej się jej jednak opłacało robić na drutach. Za zrobienie swetra otrzymywały tyle wełny, ile ważył sweter, lub 2 kg masła, lub 2 kg słoniny, albo inne produkty żywnościowe. Przy robocie na drutach zatrudnione byliśmy wszystkie, oprócz Tadzika i Tereni, którzy pilnowali Romka. Podczas pracy nudziłyśmy się, więc na zmianę czytałyśmy książki – raz czytałam ja, innym razem Basia. Stryjenka nie była z tego zadowolona, gdyż robota posuwała się

wtedy wolniej. Nauczyłyśmy się więc robić tak, że bez spoglądania na wykonywaną robotę patrzyłyśmy niemal wyłącznie w książkę. I całkiem dobrze nam to wychodziło. Stryjenka głównie wykańczała roboty, a także wykrawała formy, według których robiłyśmy poszczególne części swetra. Same też ubierałyśmy się w takie ubrania, z wełny owczej: spódniczki, swetry, pończochy, rajtuzy. Najbardziej niezadowolone byłyśmy z pończoch, gdyż „gryzły” nas one w gołe nogi. Tatus ze stryjkiem robili drewniaki; nie tylko

dla nas, także na zamówienia. Strugali podeszwy z brzoźowego drewna i przybijali do nich skórzane przyszwę na przodzie stopy. Pięta pozostawała goła. Drewniaki przywiązywało się rzemieniem do nogi, aby przypadkiem nie zgubić ich w śniegu. Ciepłe pończochy i skarpety (grube) dobrze chroniły nogi przed mrozem. Świetnie się w nich ślizgało na lodzie, nie potrzeba było łyżew.

Podczas silnych mrozów szkoła była nieczynna. A zima była wówczas bardzo mroźna. W mieszkaniu też było zimno. Siedzieliśmy wszyscy w jednym pokoju, w którym paliło się dwa razy dziennie. Stojąca w wiadrze woda – w kuchni – nad ranem była zamrznięta. Przygotowując posiłki trzeba było chodzić w kurtce lub w serdaku. Na wiosnę stryjostwo przenieśli się do Komarówki, gdyż stryjem zainteresowali się Niemcy i musiał wstąpić do policji. Został tzw. „granatowym” – na służbie u Niemców. Nie z własnej woli jednak to uczynił, no i nie poszedł z nimi na współpracę. Dostali tam jakieś mieszkanie pożydowskie. Pensję stryjek miał niską, więc stryjenka dorabiała szyciem.

1940 r. W Białej – w szkole

W maju 1940 r. zawiózł mnie Tatuś rowerem do Białej, abym leczyła zęby u dentystki dr Kucharskiej. Zamieszkałam u rodziny siostry p. Dunicza, u państwa Niwińskich (ul. Witoroska, dom Bilewiczów). Mieli oni córkę Jankę (Jańcia, Ninka), która była w moim wieku. Pani Niwińska była kaleką; jeździła po mieszkaniu na wózku inwalidzkim, miała też służącą, która zajmowała się domem. Pan Niwiński pracował w jakiejś firmie niemieckiej i chyba dość dobrze zarabiał. Było u nich dobre jedzenie, jedynie cukru brakowało. Herbatę słodziliśmy landrynkami. Z Jańcią chodziłyśmy do dentystki dr Kucharskiej, która mieszkała na ul. Piłsudskiego. Pewnego dnia, kiedy przyszłyśmy na umówioną godzinę, zastałyśmy drzwi na oścież otwarte. Poczekalnia była pusta, drzwi do kolejnych pokoi pootwierane i wszędzie straszny bałagan. Po chwili pojawiła się jakaś kobieta, która oznajmiła, że pani doktor została aresztowana.

Dr Kucharska została rozstrzelana 23 sierpnia 1940 r. w pobliżu Wólki Plebańskiej (las nadleśnictwa Grabarka), wraz z 24 osobami z Białej Podlaskiej i okolic (inf. z książki J. Sroki). W tej sytuacji musiałyśmy przenieść się z leczeniem zębów do innej dentystki. Podczas pobytu w Białej Podlaskiej p. Dunicz załatwił mi (z kierownikiem) naukę w Szkole Powszechnej nr 3 na Woli. Chodziłam do niej przez kilka tygodni, do piątej klasy, aby uzyskać świadectwo końcowe. Jańcia chodziła do klasy szóstej, ale znalazła mi koleżankę z którą mogłam chodzić do szkoły. Uczyliśmy się w jakiejś stodole za torami. Uczyli nas: języka polskiego – p. Krzoska, rachunków – p. Pałowska. Tylko na tyle Niemcy pozwalali! Początkowo nie czułam się w szkole

dobrze, gdyż byłam nieśmiała. Nauczycielki były miłe i bardzo dla mnie życzliwe. Dobrze sobie radziłam z polskim i rachunkami, to i pewnego razu powiedziały, że mogłabym pójść do szóstej klasy. Tak dobrze przygotowała mnie Mamusia! Świadectwo otrzymałam z bardzo dobrymi ocenami

Jancia przyjechała latem na jakiś czas do Walinny. Bardzo się z nią wtedy zaprzyjaźniłam. Chciała w przyszłości zostać inżynierem, jak jej ojciec i wujek, a ja marzyłam by zostać lekarzem, i tak jak moi rodzice pomagać ludziom, ale już z odpowiednim przygotowaniem fachowym. Tymczasem ona została lekarzem, a ja inżynierem ogrodnictwa.

Pan Dunicz nie mieszkał już u nas (ożenił się z Marysią Iwanicką i przeniósł się do niej), administrował jednak naszym domem, dzięki czemu podtrzymywane były wzajemne stałe kontakty. Czasami przyjeżdżał do Walinny, nie tylko w sprawach związanych z administrowaniem. Przekazywał Mamusi polecenia z tajnej organizacji, dotyczące realizacji programu nauczania dzieci w Walinnie. Spotykał się także z tutejszymi ludźmi, aż w końcu zorganizował komórkę tajnej organizacji Związek Walki Zbrojnej – Armii Krajowej.

Wysiedleni z terenów przyłączonych do Rzeszy

Zimą 1940 r. przywieziono do Walinny około 10 rodzin z zachodnich terenów Polski, które zostały przez Niemców włączone do Rzeszy. Były to na ogół rodziny z dużych gospodarstw rolnych, czasami też niezbyt dużych, ale bardzo dobrze gospodarujących. Niektóre z tych rodzin miały małe dzieci. Umieszczono ich w co większych domach, przy tutejszych rodzinach, przeznaczając do ich dyspozycji jedną z izb. Przesiedleńcy pomagali w pracach gospodarskich, za co otrzymywali wyżywienie. Nie mogli oni zbyt wiele rzeczy zabrać ze swoich domów. Ich gospodarstwach zasiedlone zostały przez Niemców, którzy przybyli z głębi Rzeszy.

W szkole w Komarówce

Jesienią 1940 r. zaczęłam naukę w klasie szóstej Szkoły Powszechnej w Komarówce. Chodziło nas z Walinny kilkoro dzieci: Julka Giejówna, Stasiak Zajac, Zygmunt Klimiuk – do klasy szóstej, oraz Janka Pradziuchówna i Sabina Klimiukówna – do klasy siódmej. Dzieci te przygotowane były do dalszej nauki przez Mamusię – na tajnych kompletach. Droga do szkoły była bardzo uciążliwa, gdyż do Komarówki jest ponad 6 kilometrów. Trzeba było wychodzić przed godz. 7⁰⁰, aby zdążyć na 8⁰⁰. Nauczycielki okazywały niezadowolenie, kiedy spóźnialiśmy się na lekcje. Do szkoły szło się szybko, raźnie, z powrotną drogą było jednak gorzej, gdyż we wrześniowe południa bywało nie raz gorąco. Byliśmy też głodni, zmęczeni, no i trzeba było jeszcze nieść na sobie cieplejsze okrycia. Odpoczywaliśmy na łące.

Czasami jeździłam rowerem Tatusia. Rower męski miał jednak bardzo wysoką ramę, stąd nie było mi wygodnie zsiadać. Droga była nierówna, z koleinami, to nie raz przewracałam się. Gdy zaczęły się jesienne deszcze, to zamieszkałam u państwa. Palczyńskich (na piętrze, nad apteką). Miałam wówczas więcej czasu na naukę i na spotkania z koleżankami. Zaprzyjaźniłam się wtedy z Krysią Majkutewicz i Irką Kotłowską. Siedziałam w jednej ławce z Elizą Gierejówną, córką nauczycieli z Derewiczny, zaprzyjaźnionych z naszą rodziną. Ela miała starszego brata Jurka i młodszego Tomka, którego chrzestnym ojcem był mój Tatuś. Czasami chodziłam do Eli na noc.

Uczyliśmy się w jednym z żydowskich mieszkań. Niemcy usunęli Żydów z dużego pokoju i przeznaczili go na klasę szkolną. Rodzina żydowska mieszkała w kuchni. Czasami podglądaliśmy ich przez dziurkę od klucza, szczególnie wtedy, gdy obchodzili jakieś uroczystości religijne. Nauka nie sprawiała mi kłopotu. Byłam dobrze przygotowana przez rodziców, to i oceny były bardzo dobre. Uczyła nas p. Sikorowa (rachunków) oraz p. Janina Zajac (polskiego). Któregoś dnia jakiś Niemiec zajrzał przez okno do naszej klasy i podał Niusi Dzwilównę – najładniejszej i najstarszej spośród dziewczynek – czekoladowe cukierki. Niusia ich nie ruszyła, a kiedy Niemiec odszedł wyrzuciła je przez okno. Po chwili na zewnątrz wybiegli chłopcy i podeptali je butami. Od grudnia do maja uczyłam się w domu, a później ponownie wróciłam do szkoły w Komarówce, aby otrzymać świadectwo ukończenia szóstej klasy.

Aresztowanie inteligencji z Komarówki i okolic

Jesienią 1940 r. nastąpiły masowe aresztowania inteligencji z Komarówki: policjantów, nauczycieli, księży oraz okolicznych właścicieli majątków ziemskich. Tylko p. Gibki i p. Zabrze, nauczyciele z Komarówki, zdolali zbiec przed aresztowaniem. Przez cały późniejszy okres okupacji przebywali w Warszawie. Aresztowanych wywieziono do Oświęcimia, skąd już nie wrócili. Pan Gieriej (nauczyciel z Derewiczny) też uciekł, ale po jakimś czasie pojawił się u swoich rodziców w Milanowie. Został tam jednak wysledzony i aresztowany przez Niemców. Przed samymi świętami Bożego Narodzenia przyszła do p. Gierejowej jakaś kobieta, z informacją, że p. Gieriej uciekł Niemcom i przebywa obecnie u niej w Lublinie. Jakoby czekał tam na ubranie, pieniądze oraz żywność, ażeby mógł się dalej ukrywać. Ucieszona Gierejowa spakowała walizkę z ubraniami, wzięła ciepłe palto męża, żywność, pieniądze i pojechała z tą kobietą do Lublina. Na jakiejś ciemnej ulicy w Lublinie (obowiązywało wówczas zaciemnienie) podeszło do nich dwóch mężczyzn, którzy zabrali walizki i ulotnili się wraz z tą kobietą. Zrozpaczona pani Gierejowa spędziła cały wieczór wigilijny na dworcu kolejowym w Lublinie. Płakała, myślała o swoich dzieciach, które zostały w domu same, i o tym, jak okrutni są ludzie, wykorzystujący cudze nieszczęście aby się wzbogacić. Czekaając na

pociąg do Bezwoli słuchała kolędy „Cicha noc”, którą Niemcy tak bardzo lubią i która stała się popularna również u nas (wcześniej tej kolędy nie znałimy). Ile razy słyszałam później tę kolędę, przypominała mi się p. Gierejowa, samotnie siedząca w wigilijny wieczór na dworcu kolejowym – oszukana, okradziona, nie tylko z rzeczy materialnych, ale i z nadziei na spotkanie się z mężem. Jej mąż już nie wrócił z Oświęcimia. Rodzina po jakimś czasie otrzymała oficjalne powiadomienie, że zmarł na zapalenie płuc i że jego prochy mogą być przysłane, oczywiście za znaczną opłatą. Zrozpaczona żona z propozycji tej nie skorzystała.

Naszego Tatusia nie aresztowano. Pozostało także kilku innych nauczycieli, na ogół z wiosek dalej położonych. Mamusia mówiła, że dobrze się stało, że nie mieszkałam dłużej w Komarówce i że Tatus nie musiał przyjeżdżać do państwa Palczyńskich, pokazywać się w towarzystwie tamtejszych nauczycieli. Pan Palczyński także był aresztowany i zginął w Oświęcimiu. W Komarówce krążyły pogłoski, że Niemcy wykryli tajną organizację wśród nauczycieli, stąd aresztowano wszystkich. Tatus jeśli należał do tajnej organizacji, to zapewne wciągnięty był do niej przez p. Dunicza z Białej Podlaskiej, a nie przez osoby z Komarówki. Podejrzanym o donosicielstwo dla Niemców był p. Jazowy, zięć Hawryluków, mąż Łodzi. Jazowy pochodził ze Śląska, stąd dobrze znał język niemiecki. Mężem Łodzi został w pierwszych dniach września, a pracował wtedy w Krakowie. Hawrylukowie mieli w Komarówce młyn parowy. Jazowy czasami przyjeżdżał wraz z żoną do jej rodziców. „Kręcił się” wtedy wśród komarowskiej inteligencji, to i został głównym podejrzanym.

Po jakimś czasie aresztowano właściciela młyna – Hawryluka, po czym zamęczono go w Radzynie Podlaskim (na zamku). Wtedy Niemcy oddali młyn w zarząd p. Kotłowskiemu. Po dłuższym okresie czasu zauważono, że żona Kotłowskiego często spotyka się z gestapowcem Dykowem z Radzyna Podlaskiego. Gdy aresztowania zaczęły się powtarzać, wysłedzono, że jest ona konfidentką. W efekcie organizacja podziemna wydała na nią wyrok. Podczas jednej z podróży Kotłowska została zastrzelona w podradzyńskim lesie.

Tajne nauczanie w Walinnie

Tajne nauczanie w Walinnie prowadzone było zgodnie z zaleceniami rządu podziemnej Polski. Polecenia i instrukcje programowe otrzymywała Mamusia od p. Dunicza – z Białej Podlaskiej. Od jesieni, wraz z innymi dziećmi uczyłam się w domu. Przerabiałam program szóstej klasy. W prowadzeniu nauczania pomagał Mamusi brat Julki – Bronek Giej, gimnazjalista po małej maturze. Uczyły się też dzieci z piątej i siódmej klasy. Jako wynagrodzenie za naukę gospodarze przynosili nam słoninę, mięso, masło, mąkę, ziemniaki, warzywa. Jeden z gospodarzy dał nam na święta nawet ćwiartkę świniaka.

Krowa też miała swoje miejsce na pastwisku, i siano na zimę. A to wszystko za nauczanie dzieci. Na lekcje przychodziły m.in. córki gajowego Krykwińskiego, z gajówki Pustos, odległej od nas ok. 2 km. Wanda i Ola były moimi koleżankami (Wanda o rok starsza). Czasami chodziłam do nich, by razem odrabiać zadania z matematyki. Wtedy ich mama uczyła mnie gry na fortepianie. Za nauczanie córek gajowy dostarczał nam drewno na opał. Od maja wszystkie dzieci z tajnego nauczania chodziły do szkoły w Komarówce, aby otrzymać świadectwo ukończenia piątej, szóstej lub siódmej klasy. W Walinnie była szkoła powszechna 2-klasowa, 4-oddziałowa. Przed wojną dzieci chodziły do szkoły przez 7 lat, przerabiając program skrócony siedmiu klas, gdyż właśnie taki był obowiązek nauczania w Polsce. Jeżeli jakieś dziecko chciało iść do gimnazjum, to musiało mieć świadectwo szóstej klasy ze szkoły w Komarówce.

Wujek Stefan (Szczepan) Wiązowski

W jesieni 1940 r. zjawił się u nas wujek Stefan, brat Mamusi. Przed wojną studiował on w Warszawie w Szkole Inżynierskiej Wawelberga. Uzyskał specjalność w zakresie konstrukcji samolotów i przystąpił do robienia doktoratu, jednocześnie pracując w jakiejś fabryce broni. Podczas I wojny światowej był on ułanem u naczelnika Józefa Piłsudskiego. Do wojska poszedł w wieku 16 lat. Zaczął się uczyć dopiero po wojnie; w tym celu wyjechał do Warszawy. Mamusia płaciła na jego utrzymanie, zanim nie znalazł jakiejś pracy. Pracując jednocześnie studiował, stąd trwało to dość długo. Wujek ożenił się dosyć późno, ze znacznie młodszą od siebie córką gospodyni, u której mieszkał. Wujenka Zosia była bardzo miła i dobra, a wujek był bardzo spokojny i zrównoważony, a do tego zawsze uśmiechnięty. Dla Zosi wujek był wielkim autorytetem. Wujostwo szczęśliwie przeżyło bombardowanie Warszawy w 1939 r. Mieszkali w starej kamienicy przy ul. Rażyńskiej. Podczas okupacji mieli trudności z utrzymaniem się w mieście. Wujek nie chciał pracować dla Niemców, dlatego postanowił zająć się handlem.

Na zimę 1940/41 sprowadzili się oboje do nas. Wujenka Zosia nie miała dzieci, to i chyba dlatego tak bardzo nas lubiła. Wkrótce zaczęli han-



Stefan Wiązowski

dlować, czym się tylko dało. Przewozili żywność do Warszawy, co nazywało się wówczas szmuglem. Robiono to jednak, gdyż w przeciwnym wypadku warszawiacy pomarliby z głodu, a ludzie na wsi nie mieliby zapalek, karbidu, zapalniczek, mydła, herbaty i artykułów przemysłowych. Mieszkańcy Warszawy wyzbywali się ubrań i obuwia, aby zdobyć co nieco do jedzenia. Takimi właśnie pośrednikami byli Zosia i Stefan. Stefan jeździł po różnych wsiach i kupował rąbanek, czasami samą słoninę. Później włączył do pomocy Tatusia. Kupowali całą świnię, zabijali ją, a później wraz z innymi handlarzami wieźli mięso, słoninę i kielbasy do Warszawy. Z podrobów robiono kaszankę i salceson – dla całej naszej rodziny. Kaszanka była najczęściej z kaszy jaglanej; upieczona w piecu... była bardzo smaczna. W tym czasie nie odczuwaliśmy głodu. W okresie letnim Stefan z Zosią jeździli do Warszawy rowerami, gdyż tak było bezpieczniej. Podczas podróży pociągami zawsze obawiali się rewizji. Na zimę Zosia uszyła woreczki z tasiemkami, którymi w czasie podróży obwieszali się ze wszystkich stron. Wypełnione były oczywiście mięsem, słoniną i masłem. Co nieco wieźli także w torbach, na wszelki wypadek, aby „podzielić się” z żandarmami. Czasami wujenka Zosia brała ze sobą do Warszawy także Basię. Obłożone słoniną dziecko było mniej podejrzane.

Wujenka kupowała masło także u gospodyń wiejskich. Nieraz chodziłyśmy razem z nią do gospodarzy, nie tylko w Walinnie, ale też w sąsiednich Kolembrodach. Szłyśmy z wujenką przez łąki, na skróty – zimą po lodzie i śniegu. Lubiliśmy wujenkę, bo zawsze coś ciekawego nam opowiadała. Przywoziła też dla nas jakieś drobne prezenty – broszki, koraliki, kolorowe nici, maskotki. Wujka także lubiliśmy, bo nieraz wspominał o latach wojny... i o Piłsudskim, Miał bardzo dobrą pamięć. Mówił, że wyćwiczył ją ucząc się na pamięć „Pana Tadeusza”. Sprawdzaliśmy go, czy na prawdę; nie złapałyśmy go jednak na tym, by czegokolwiek nie pamiętał. Umiał też na pamięć wyjątki z „trylogii”. Obiecywał wtedy, że po wojnie zabierze mnie do Warszawy i pokryje koszty moich studiów medycznych. Mamusia powiedziała mi, że wujek miał być moim ojcem chrzestnym, jednak z powodu ważnych egzaminów nie mógł w tym czasie przyjechać na chrzciny.

Jednego razu ja także pojechałam z wujkiem do Warszawy, jednak nie był to wyjazd w celach handlowych. Było to w sierpniu 1942 r. Nadarzyła się wyjątkowa okazja, którą był ślub Janki Skulimowskiej (przybranej córki Mamusi) z Antosiem Bogdanem. Mamusia nie chciała jechać, gdyż po śmierci Tatusia źle się czuła. Wujek wiozł mnie rowerem (siedziałam na ramie) do stacji kolejowej Szaniawy (ok. 30 km). Była to następna stacja za Międzyrzeczem Podlaskim, w kierunku na Warszawę. Tym sposobem omijaliśmy stację, na której żandarmi zwykle urządzali łapanki na szmuglujących. We wsi Szaniawy wujek zostawił rower u znajomego gospodarza (na przechowanie). Pociąg nadjechał bardzo przepełniony, tak że udało się nam stanąć jedynie na

stopniach wagonu. Uczępieni jechaliśmy tak kilka stacji, zanim udało się wejść do środka. Podróżujący byli bardzo życzliwi, dowcipni – opowiadali różne kawały, śpiewali piosenki, tak że droga wcale mi się nie dłużyła. Przeważnie byli to handlarze, ciągle podróżujący z żywnością do Warszawy, ciągle narażeni na niebezpieczeństwo utraty towaru, ale także na przymusową podróż do obozu koncentracyjnego.

W Warszawie nocowaliśmy na Bródnie, u siostry wujenki. Drugiego dnia pojechaliśmy na ślub do kościoła św. Barbary. Przyjęcie było na Raszyńskiej. Wszystko przygotowała wujenka Zosia. Po południu poszliśmy na spacer na Pola Mokotowskie. Nazajutrz wujek przewiózł mnie tramwajem, pokazał jak wygląda Warszawa – zniszczona przez wojnę. Przejeżdżając obok getta żydowskiego widziałam wysoki mur, zakończony drutem kolczastym i tłuczonym szkłem.

Wujek i wujenka na Majdanku

Pewnego razu, zimą 1942/43, gdy wujek z wujenką jechali z rąbanką do Warszawy, natknęli się w Łukowie na prowadzących rewizję pociągu żandar mów. Zatrzymano ich jako szmuglerów, zabrano towar i odesłano do obozu na Majdanku k/Lublina. Kiedy Mamusia otrzymała tę wiadomość, od razu zajęła się organizacją pomocy. Przygotowana była wcześniej na taką sytuację. Wzięła więc przeznaczone na ten cel pieniądze, zabrała ze sobą najmłodszą córkę (Terenię), jako towarzyszącą jej „osłone”, i pojechała do jakiejś wpływowej osoby w Lublinie, wskazanej przez znajomych. Osoba ta skontaktowała Mamusię z jakimś niemieckim żandarmem, który za otrzymane od niej pieniądze uwolnił wujenkę z obozu. Wujka nie udało się jednak uwolnić, bowiem zakwalifikowany był już wcześniej na wywiezienie do jakiegoś innego obozu.

Po kilku tygodniach wujek zjawił się jednak w domu. Był chudy, brudny, z ogoloną głową. Udało mu się zbiec z jadącego pociągu, a transportowali go najprawdopodobniej do Oświęcimia. Ucieczkę zorganizowało kilku więźniów: wyrwali deskę w wagonie i wyskoczyli z jadącego pociągu. Było to bardzo niebezpieczne, ale pobyt w obozie wcale im się nie uśmiechał. Dzięki temu ponownie znaleźli się na wolności. Trzeba było jeszcze dotrzeć do domu, pozbywając się obozowych pasiaków, zdobyć ubranie i czapkę, aby nie było widać ogolonej głowy. No i trzeba było iść piechotą, omijając niemieckie posterunki.

Po tej niebezpiecznej przygodzie wujek już rzadziej jeździł do Warszawy; próbował w inny sposób zarabiać na życie. Zajął się m.in. wytlaczaniem oleju z rzepaku, lnu, konopi i maku oraz wyrobem mydła ze słoniny, także z różnych odpadów zwierzęcych. W naszym mieszkaniu czynna była olejarnia. Olej tłoczyło się na gorąco, to i w kuchni bardzo często był nieprzyjemny zapach. Także mydło się gotowało w kuchni i wlewało do szuflad wyjętych z szaf i stołów.

Później trzeba było je formować w sztabki. Tego rodzaju praca była wówczas opłacalna.

1941 r. Wojna niemiecko-sowiecka

Wiosną 1941 r. zaczęłam ponownie chodzić do szkoły w Komarówce, aby uzyskać świadectwo ukończenia szóstej klasy. 22 czerwca 1941 r., kiedy wracałam ze szkoły, usłyszałam buczenie ciężkich samolotów, a po chwili huk spadających bomb. Zapewne zrzucono je na Brześć. Zaczęła się wojna. Skoro nasi najwięksi wrogowie wzięli się za łby, stwarzało to dla nas jakąś nadzieję na szybsze zakończenie wojny. Po jakimś czasie w okolicy zaczęli pojawiać się jeńcy bolszewicy, uciekinierzy z niemieckiej niewoli. Tworzone były dla nich na Podlasiu prowizoryczne obozy jenieckie, zwykle na gołym polu, z prowizorycznymi ogrodzeniami. Pilnowali ich niemieccy strażnicy, widać jednak, że niezbyt dokładnie. Jedzenia i picia dostawali bardzo mało, tak że w krótkim czasie umierali. Niektórzy próbowali ucieczki. W efekcie pojawili się w lasach także sowieccy partyzanci. Zbiegli jeńcy przychodzili do wsi przeważnie nocami. Potrzebowali jedzenia oraz ubrań.

Zima 1941/42. Epidemia tyfusu

Późną jesienią wybuchła epidemia tyfusu, m.in. brzusznego. Niemcy nakazali szczepienie wszystkich ludzi. Tatuś dostał od lekarza szczepionki i robił ludziom zastrzyki. Pomagałam mu w tym, gotowałam igły, podawałam przybory. Nauczył mnie wtedy jak się robi podskórne zastrzyki. Bez większych problemów zaczęłam je wkrótce wykonywać. Przecież miałam zostać lekarzem! Bardzo byłam dumna ze swojej nowej roli.

Tyfus rozprzestrzenił się bardzo szybko. Zdarzały się też przypadki w naszej wsi. I to śmiertelne! Okazało się wówczas, że szczepionka nic nie pomogła, gdyż był to tyfus plamisty. Szczepionki na tyfus plamisty były bardzo drogie, stąd dostępne jedynie dla Niemców. Tyfus roznosili uciekinierzy sowieccy, zazwyczaj mocno zaważeni, zarażeni tyfusem. Pierwsze przypadki tyfusu w naszej wsi zakończyły się śmiercią, zarówno wśród ludzi starych, jak i młodych (zmarł m.in. Józek Brukacz, lat 14). Tatuś jeździł rowerem po wsi i wykonywał zastrzyki podtrzymujące pracę serca, szczególnie dla ludzi starszych. Przy tyfusie była bardzo wysoka temperatura, a lekarstwa na tę chorobę nie było. Pewnego wieczoru, kiedy wrócił od chorego, zaczął skarżyć się, że coś go ugryzło w plecy. Mamusia posmarowała czerwoną plamę spirytusem, ale nic nie pomogło. Po kilkunastu dniach Tatuś zachorował. Było to zaraz po świętach Bożego Narodzenia. Chorował na serce, więc tyfus był dla niego bardzo groźny. Temperatury wysokiej nie miał, do 38,6°C, ale był bardzo słaby. Przyjechał z wizytą lekarz z Komarówki – doktor Ziółkowski, który zapisał mu jakieś leki na serce. Mamusia robiła zastrzyki.

Mrozy w tym czasie były bardzo silne, spadło też dużo śniegu. Po wsi

chodzili zbiegli z niewoli jeńcy sowieccy. Przychodzili do domów, prosili o ciepłe jedzenie i picie. W jednym z domów jeniec opiekował się chorymi, gdyż wszyscy domownicy leżeli w gorączce. Pewnego dnia, w południe, do naszej kuchni także wszedł zziębnięty jeniec. Obiad był już ugotowany, więc Mamusia nalala mu w miskę gorącego kapuśniaku. Postawiłam w pobliżu drzwi taboret, na którym usiadł... i trzęsąc się jadł. Widać było, że jest bardzo chory. Ciało tego jeńca znaleziono po kilku godzinach na drodze. Po jego wyjściu wyniosłyśmy taboret na śnieg i zrzuciłyśmy z niego olbrzymie wszy (było ich chyba 7). Polałyśmy też taboret jakimś środkiem dezynfekującym i zostawiłyśmy na dworze. Po chwili poczułam, że coś mnie gryzie w szyję. Basia i Terenia także wołały, że coś gryzie je w nogi. Zaczęły ściągać pończochy. Były to wszy, które chory jeniec u nas zostawił. Zostałyśmy więc zarażone! Po kilku dniach dostałam wysokiej temperatury. Mamusia zrobiła mi zastrzyk z panodiny, bo myślała, że to może jakieś przeziębienie. Okazało się jednak, że był to początek tyfusu. Następnego dnia byłam już mocno chora.

8 stycznia przyjechał do Walinny ksiądz – z wiatykiem i olejami dla chorych na tyfus. Był to bardzo pobożny ksiądz, zaprzyjaźniony z naszą rodziną. Mamusia zaprosiła go również do nas. Tatuś chorował już jedenasty dzień (miał temperaturę 38°C). Był przytomny, leżał na meblowym łóżku przy oknie, a ja na żelaznym, w pobliżu drzwi. Tatuś wyspowiadał się. Ksiądz podał mu wiatyk i namaścił olejami świętymi. Później tak samo zrobił ze mną. Byłam przytomna, chociaż temperatura sięgała 40,6°C. W kuchni, zgodnie z wiejskim zwyczajem, kobiety śpiewały smętne pieśni religijne. Chodziły tak od domu do domu, gdzie tylko udawał się ksiądz z olejami i wiatykiem.

Po wyjściu księdza Tatuś poczuł się gorzej, Mamusia myślała, że pewnie tak bardzo przejął się ceremonią ostatniego namaszczenia oraz śpiewami kobiet. Pod wieczór zaczął ciężko oddychać, aż w końcu stracił przytomność. Mamusia robiła mu co godzinę zastrzyki z kamfory – na podtrzymanie serca, gdyż ręce i nogi robiły mu się coraz bardziej zimne. Strasznie płakała, nie tylko z powodu umierającego Tatusia, ale i mojego krytycznego stanu zdrowia. Zawsze byłam słaba, często chorowałam. Mamusia klęczała przy moim łóżku i modliła się o moje zdrowie. Zapewniałam ją, że nie umrę, że będę żyła, że raczej powinna zająć się Tatusiem. Siedziałam na łóżku i też płakałam, słysząc jak Tatuś ciężko oddycha, a Mamusia płacze. Miałam wysoką temperaturę, ale byłam przytomna.

Tatuś zmarł o godz. 19⁰⁰ – 8 stycznia 1942 r. Mamusia musiała zająć się pogrzebem oraz powiadomieniem rodziny Tatusia o jego śmierci. Dobrze, że była z Mamusią wujenka, która pomagała jej, podtrzymywała na duchu. Wujek w tym czasie był w Warszawie. W dniu pogrzebu zostałam w domu z Terenią (8 lat) oraz jej koleżanką Stasią. Dostałam wtedy strasznego krwotoku z nosa. Dziewczynki podstawily mi miednicę, abym nie ubrudziła poś-

cieli. Na szczęście, po jakimś czasie pojawiła się sąsiadka Melnikowa, która zrobiła mi zimny okład. Na dworze był wtedy silny mróz i duży śnieg. Nie wielu ludzi było na pogrzebie Tatusia. Przyszli nauczyciele z Komarówki, a p. Batko zaśpiewał „Ave Maryja”. Przyjechała też rodzina Tatusia z Bezwole. Zrozpaczony był dziadzio, a także stryjek Ludwik, którym Tatusz opiekował się od wczesnego dzieciństwa (był głuchoniemy).

Podczas epidemii tyfusu zmarło w Walinnie ponad 100 osób, z około 100 rodzin. W niektórych domach było po kilku zmarłych. Zmarli m. in. Robakowie, całkowicie osierocając swoje dzieci. Umierali przeważnie ludzie starsi, ale pod koniec trwania tej epidemii zmarło także wielu młodych. Chorowałam przez 14 dni (przepisowo tyle trwa ta choroba). Cały czas miałam temperaturę w granicach 40,5 - 41,0°C i obsypana byłam czerwonymi plamami. Nic nie jadłam, a piłam jedynie wodę, z jakimś sokiem. Butelkę z sokiem trzymałam przy sobie, stąd była ona zawsze ciepła. Mamusia przykładła mi na głowę lód w pęcherzu, abym nie dostała zapalenia mózgu. Robiła też zastrzyki wzmacniające serce. Lekarz z Komarówki nie jeździł już do chorych, gdyż i on zachorował na tyfus. Jednego razu przyszedł jednak do mnie niezwykle lekarz. Był to sowiecki partyzant. Zapisał mi jakieś proszki na obniżenie temperatury. Po lekarstwo to (trzeba było je zrobić) należało pojechać do apteki w Wohyniu, bowiem tylko tamtejszy aptekarz wtajemniczony był w jego produkcję, na podstawie „recept” wystawianych przez sowieckiego lekarza. Pod koniec mojej choroby rozchorowała się również Basia. Nie miała jednak tak wysokiej temperatury jak ja. Ona zawsze lżej przechodziła choroby, była odporniejsza. W tym czasie Niemcy zorganizowali w budynku urzędu gminnego w Wiskach szpital dla chorych na tyfus. Sanitarne służby, pod nadzorem żandarma niemieckiego, chodziły po domach i zabierały chorych do szpitala oraz przeprowadzały dezynfekcję pomieszczeń. Basia była w tym szpitalu tylko tydzień. Wróciła z ogoloną głową, stąd musiała ciągle chodzić w chusteczce, zanim nie odrosły jej włosy. Ja nie miałam ściętych włosów, ale po tyfusie bardzo mi się przerzedziły. Dla Basi po odrośnięciu włosy zaczęły się kręcić, a u mnie, raczej się wyprostowały.

Terenia też zachorowała, nie miała jednak tak wysokiej temperatury. Podczas inspekcji nie leżała w łóżku, to i nie zabrali jej do szpitala. Po trzech dniach była już zdrowa. Ja natomiast dosyć długo wracałam do zdrowia. Po ustąpieniu gorączki jeszcze przez dwa tygodnie leżałam, gdyż byłam bardzo słaba. Prawie nic nie widziałam i nic nie słyszałam. Trzeba było bardzo ostrożnie dawać mi jedzenie, aby po długiej głodówce mi nie zaszkodziło. Mamusia nie zachorowała na tyfus, pewnie dlatego, że bardzo ciężko chorowała podczas I wojny światowej. Po prostu była już uodporniona. Pod koniec zimy przechodziłyśmy jeszcze jakąś infekcję. Pojawiały się wówczas na skórze, w różnych miejscach małe wrzodzianki ropne, szczególnie na nogach i rękach. U Mamusi odnowiła się gruźlica płuc, co pewnie było skutkiem licz-

nych zmartwień i śmierci męża. Musiała jednak uczyć dzieci w szkole, na stanowisku Tatusia. W robieniu zastrzyków chorym ludziom teraz ja zastąpiłam Tatusia. Byłam dumna, że jestem już tak bardzo dorosła i potrzebna ludziom. Dużo serca okazywali nam wujek i wujenka, a także nauczyciele z Komarówki. Szczególnie zaangażowany był p. Batko, organizator tajnego nauczania w pobliskich miejscowościach.

Leonard Dunicz i ZWZAK w Walinnie

Leonard Dunicz przyjeżdżał do Walinny niby to w celach handlowych, a tak właściwie, to spotykał się z chłopcami, którzy już odbyli służbę wojskową. Chodziłam z nim po wsi, niby z koszyczkiem towaru, do wskazanych przez Mamusię osób. Czasami sama biegałam, aby kogoś powiadomić, że L. Dunicz przyjechał. Siedzieli oni później zamknięci w małym pokoju i dość długo rozmawiali. Chłopcy z organizacji wiedzieli, że Tatuś przed wojną miał rewolwer, więc po jego śmierci prosili Mamusię aby im go oddała. Tatuś wtajemniczył Mamusię, że jest on zakopany w szopie, jednak nie określił dokładnie tego miejsca. Chłopcy w końcu zaczęli kopać, ale chyba nic nie znaleźli. A może znaleźli, lecz Mamusia nie chciała mi powiedzieć.

Życie towarzyskie w Walinnie

Różne osoby z Warszawy, mieszkające czasowo w Walinie lub przyjeżdżające w zamiarach handlowych, przychodziły do nas w celach towarzyskich. Pojawiały się też samotne młode nauczycielki z sąsiednich wsi, aby trochę pogadać. Trzeba było podtrzymywać się na duchu, przekazywać sobie różne wiadomości – polityczne i życzeniowe: o „cioci Ani, i cioci Frani”, o Sikorskim. Moda była wówczas na wróżby oraz seanse z wirującym talerzykiem. Byle tylko trwać w nadziei, że wojna szybko się skończy. Porcelanowy talerzyk – ze znaczkiem – krążył wkoło, dotykany palcami poważnie nastrojonych ludzi. Na dużym arkuszu papieru, na okręgu, wypisane były litery alfabetu. Myśłami popychaliśmy talerzyk w kierunku właściwej litery. Czy to ktoś świadomie kierował tym talerzykiem, nie wiem? Nikt nie chciał do tego się przyznać. Zadawało się pytania o aktualną sytuację, o koniec wojny, o miejsca pobytu zagubionych ludzi itp. Odpowiedzi zawsze były pomysłne, czasami zagadkowe, wymijające – trzeba było wówczas domyślać się właściwej odpowiedzi. Mamusia czasami dawała się namówić na wróżenie z kart, szczególnie wtedy, gdy ktoś miał zmartwienia. Wróżyła mu zawsze same pocieszające wiadomości.

Wiosna 1942 r. – tajne nauczanie

Na wiosnę znowu poszliśmy z Basią do szkoły w Komarówce, aby

dostać świadectwo, ja siódmej, a Basia szóstej klasy. Polskiego uczył nas p. Batko, przybyły wraz z rodziną z Warszawy. To on zorganizował tajne nauczanie na naszym terenie, a Mamusia podlegała mu organizacyjnie. Uczyła dosyć dużo dzieci, przygotowując je do ukończenia klas 5-7. Zimą uczyła indywidualnie, według specjalnego programu, a na wiosnę uczniowie kończyli naukę w Komarówce (aby uzyskać świadectwa). Walerian Batko był z ramienia Batalionów Chłopskich kierownikiem Obrony Cywilnej oraz organizatorem tajnego nauczania.

W Białej Podlaskiej - w „Handlówce”

Szkolę powszechną ukończyłam z bardzo dobrymi stopniami. W czerwcu 1942 r. zdałam egzamin do „Handlówki” w Białej Podlaskiej. Miałam już ukończone 14 lat, to i pojawiły się pewne obawy, że mogę zostać zabrana na



Koleżanki z „Handlówki”

przymusowe roboty do Niemiec. Wiejskie dzieci pracowały z rodzicami na roli, dlatego nie otrzymywały nakazów pracy w Niemczech. Nauka w „Handlówce” prowadzona była w prywatnym budynku przy ul. Budkiewicza. Były tam dwie sale, jedna na górze, druga na dole. Zorganizowane tam były dwie klasy pierwsze oraz dwie drugie. W programie nauczania znajdowały się przedmioty przygotowujące młodzież do pracy w sklepach lub w biurach handlowych: rachunkowość, księgowość, korespondencja handlowa, towaroznawstwo, maszynopisanie, stenografia, język niemiecki. Dodatkowo, prywatnie, za dopłatą, uczyła nas języka polskiego p. Bratkowska. Świetna polonistka! Najwięcej czasu zajmował mi polski, gdyż pisaliśmy dużo wypracowa-

wań, m. in. stylistycznych. Dzięki temu w ciągu jednego roku bardzo dużo się nauczyłam. Zawsze byłam bardzo dobra z matematyki, ale w „Handlówce” miałam spore trudności z rachunkowością – nie umiałam szybko liczyć w pamięci. Poza tym, była to liczna klasa (ok. 40 uczniów), a ja siedziałam w przedostatniej ławce. A ponadto, wywoływana do tablicy bardzo się peszyłam.

Łapanka w „Handlówce”

Już na początku roku szkolnego Niemcy zgarnęli z lekcji wszystkich uczniów drugiej klasy, z zamiarem wywiezienia ich na roboty do Niemiec. Odstawili ich na jakiś czas do Międzyrzecza Podlaskiego. Rodzice uczniów niezwłocznie tam pojechali, oczywiście z pieniędzmi, i wykupili ich u żandar-mów. Tego rodzaju „łapanka” była oczywiście bezprawna, jednak niemieccy żandarmi na tym procederze dodatkowo zarabiali. Podobnie było ze złapanymi szmuglerami, czy osobami zakwalifikowanymi na roboty do Rzeszy. Tylko pasierbicę p. Smotreckiej, naszej lokatorki, nie miał kto wykupić. Jej ojciec, kapitan Wojska Polskiego, zginął we wrześniu w 1939 r. Tak więc, Irka została wysłana na roboty do Rzeszy, a po wojnie wyjechała do Australii, skąd do swojej macochy już nie wróciła.

Na stacji

W Białej zamieszkałam na stacji u p. Sidorowiczowej. Była to koleżanka Mamusi, nauczycielka z Komarówki. Jej mąż, sekretarz gminy, został w 1940 r. w Komarówce aresztowany i wywieziony do Oświęcimia, skąd nie wrócił. Wybudowali oni dom w Białej Podlaskiej, podobnie jak i my, a także kilku innych nauczycieli z okolic Komarówki. W pokoju mieszkaliśmy we czwórkę: Hanka Szczygłówna, Zosia Dorożyńska, Eliza Gieriejówna i ja. Hanka była córką bogatego gospodarza z Wisiek, a Zosia córką nauczycieli – jej mama była moją matką chrzestną. Hanka i Zosia chodziły do drugiej klasy, stąd często korzystałyśmy z ich pomocy, szczególnie podczas odrabiania lekcji z języka polskiego i niemieckiego. Eliza Gieriejówna i ja chodziłyśmy do pierwszej klasy. Pani Gieriejowa, przyjaciółka Mamusi, podjęła się moją stancję „opłacać” częściowo mąką. Jej teściowie posiadali młyn, to i dość dobrze im się powodziło. Mamusia także dostarczała w jakiś ilościach masło i słoninę.

W pozostałych pokojach mieszkały trzy córki oraz syn p. Sidorowiczowej, brat Elizy, Jurek Gieriej, służąca Bronka oraz jej siostra – z małym dzieckiem. Bronka gotowała obiady, piekła chleb w kuchennym piecyku, sprzątała, a siostra jej pomagała i zajmowała się swoim dzieckiem, które nie wiadomo z kim miała. Wyżywienie na stacji było marne. Chleba było zawsze za mało. Był on czarny, często z zakalcem, mimo to bardzo nam smakował. Na śniadanie zawsze była kasza. Na kolację jedliśmy jakąś sałatkę warzywną, z ziemniakami i kiszoną kapustą. Co jadłyśmy na obiady, nie pamiętam.

Córki p. Sidorowiczowej – Danusia i Basia – pracowały w sklepach, Irka i Bogdan uczyli się jeszcze w szkole. Do starszych panienek ciągle przychodzili jacyś chłopcy. Później okazało się, że wszyscy oni działali w konspiracji (ich nazwiska znalazłam w książce Jerzego Sroki).

Pewnej wiosennej niedzieli pojechaliśmy z Zosią Dorożyńską do Łomaz, do jej rodziny. Pożyczyłam rower od Hanki, a Zosia miała swój. Wyjechaliśmy w sobotę po południu. Zosia miała młodszą siostrę Krysię, a jej ojciec był kierownikiem szkoły w Łomazach. Jej matka także uczyła w tamtejszej siedmioklasowej szkole. Zjadliśmy smaczną i bardzo obfitą kolację: racuszki oraz ziemniaki z maślanką. A i niedzielne śniadanie było takie jak przed wojną. Na poobiedni deser dostałyśmy pyszny budyń. Bardzo zadowolona byłam z tej wycieczki.

(dalszy ciąg w następnym numerze)



Roman J. Łysakowski

(Warszawa)

Moja pierwsza okupacyjna wigilia. Niezapomniana!

Działo się to po zajęciu Polski przez armię niemiecką w 1939 r., w okresie okupacji. Tego roku zima była bardzo mroźna. Mrozy dochodziły do minus 40 stopni, malując artystyczne zawijasy na szybach niedogranych mieszkań. Rzeka Krzna była skuta lodem na całej szerokości, ale nie mogła służyć za lodowisko amatorom zimowych sportów, gdyż pokrywały ją zwały śniegu. Nie poskapiła ta zima bieli, pokryła swoim grubym całunem nie tylko pola, łąki, rzekę ale i całe miasto. Śnieżne zamiecie zapierały dech w piersiach, hulały z wielką swobodą po ulicach, tworząc zaspę, pokrywając białą pierzyną krajobraz.

Nie zrażeni taką pogodą, starym zwyczajem, po skrzypiącym pod nogami śniegu wędrowali kolędnicy. Dumnie trzymali na kijach podświetlane kolorowe gwiazdy betlejemskie; chodząc od domu do domu dawali przedstawienia, śpiewali kolędy. W jasełkowe teksty wplatali krzepiące słowa pociechy, tak bardzo w tamtych czasach każdemu potrzebne. Występami swoimi dawali dowód, że Polska żyje, walczy, a tradycje religijne podtrzymują ducha w zniewolonym narodzie. Herod w takich przedstawieniach miał charakterystyczną grzywkę i wąsik Hitlera, a odziana w białe – czerwone stroje postać uciniała mu głowę. A bies, z jedną kózianą nogą, zabierał go na widłach do piekła. Wraz z kolędnikami wpadały do mieszkania płatki śniegu oraz powiewy lodowatego powietrza. Po chwili jednak atmosfera ogrzewała się, stawało się ciepło i rodzinnie. Były to ciężkie czasy. Zaopatrzenie było wówczas znikome; większość artykułów, zarówno spożywczych, jak i przemysłowych, sprzedawana była na kartki, przy tym w bardzo małych ilościach. Pomimo tego, społeczeństwo polskie jakoś sobie radziło. Dzięki życzliwości i pomocy bardziej zamożnych osób, głównie ziemian, na święta Bożego Narodzenia otrzymaliśmy podstawowe wiktuały, które zapewniły godziwe przygotowanie tradycyjnej Wigilii. Nawet pokątnie zdobyta pszenna mąka i cukier umożliwiły upieczenie ciasta na to wielkie święto, jakim jest Boże Narodzenie. Tymi skromnymi zapasami świątecznymi dzieliliśmy się także z kolędnikami. Te święta, w tak bardzo trudnych czasach, jednoczyły ludzi. Składając sobie życzenia przy oplatku wszyscy łączyli się myślami z osobami bliskimi, tymi, które nie mogły być w tej chwili w rodzinnym gronie. Prawie nie było wów-

czas takiej rodziny, która nie dotknięta byłaby dramatycznymi skutkami, dramatem wojny. Mieliśmy nasze ognisko domowe, własny dach nad głową, ładnie ubraną choinkę, a i żyliśmy nadzieją na bliski koniec wojny. Najbardziej dokuczał nam brak najbliższej osoby, naszego Ojczulka, który tułał się gdzieś



Mój Ojciec – Stefan Łusakowski

po świecie. Nie wiedzieliśmy wtedy co się z nim dzieje, bowiem zabrany został wcześniej z naszego mieszkania przez niemieckiego oficera, po tym, jak powrócił w 1939 r. z Modlina. Walczył tam w obronie twierdzy, aż do jej kapitulacji. Wrócił stamtąd do domu, gdyż miał na to zgodę niemieckiego dowództwa. Nie trwało to jednak długo, bowiem Hitler kazał wszystkich zwolnionych oficerów – obrońców Modlina – na powrót wylapać i osadzić w obozach jenieckich. Nie otrzymaliśmy żadnych wiadomości, że tak się to stało z naszym Ojczulkiem, dlatego bardzo martwiliśmy się o jego los. Tęsknota szczególnie się nasilała, gdy zbliżała się ta najpiękniejsza chwila w roku, czas Wigilii i Bożego Narodzenia.

Z rozrzewnieniem wspominaliśmy z bratem przedwojenne wigilie. Na choince paliły się wówczas świeczki, roztaczając

zapach świerku, niezapomniany, specyficzny zapach tych świąt. Wisiało na niej wiele ozdób własnej roboty: łańcuchy z kolorowego papieru, wisiorki ze słomy, koralików i gwiazdek – połączone wewnątrz nitką, srebrzone i złoczone skorupki orzechów włoskich, malowane wydmuszki jajek oraz wiele kolorowych cukierków i pierników – specjalnie pieczonych na tę okazję, a także małych czerwonych jabłuszek. Imponujący był również szklany szpic na czubku choinki, która zawsze sięgała sufitu. Pod choinką stała papierowa szopka. W drewnianym krzyżaku obsadzał ją zwykle ordynans, czasami pomagał także w jej ubieraniu. Najważniejsze jednak było to, że byliśmy całą rodziną, co nie było wtedy tak bardzo doceniane. Wtedy uważaliśmy ten stan za normalny, tym razem natomiast, dotkliwie odczuwaliśmy brak jednej z osób. Nie mieliśmy ani nastroju, ani artykułów do przystrajania choinki. Były bombki, łańcuchy, świecidelka i tak na ogół była ona trochę podobna do tej sprzed wojny. Zwykle, tak jak i tym razem, z nosami przywartymi do szyby wypatrywaliśmy pierwszej gwiazdki, która miała zwiastować nadejście najważniejszej części wieczoru. Na wigilię przygotowywanych bywało zwykle 12 potraw. Mama bardzo dbała o zachowanie tej tradycji. Pochodziła z ziemiańskiej ro-

dziny, sławnego Kalinowa, gdzie hołdowano i ściśle przestrzegano staropolskich zwyczajów. Nie pamiętam, czy były na wigilię śledzie, ale doskonale pamiętam inne dania rybne, jak smażonego karpia, karpia w galarecie, a także zupę grzybową, barszczyk z uszkami, grzyby smażone. Z tymi ostatnimi zawsze był problem, gdyż mój braciszek Stenek czuł awersję do tej potrawy. Była też kapusta z grzybami, jakieś pierogi, ziemniaki w mundurkach, różne ciasta, kompot ze śliwek i gruszek, no i najwspanialsza dla nas potrawa wigilijna – kluski z makiem. Całą wigilię oczekiwaliśmy na moment przybycia świętego Mikołaja. Gdy wracaliśmy z czatów, jedynie fruująca firanka wskazywała na jego bytność, a pod choinką piętrzyły się już pakunczki i zawiniątka. Podstawową coroczną pozycją pośród prezentów pod choinką były pudełka z ołowianymi żołnierzami. To było nasze ulubione wojsko, którym bawiliśmy się przez cały okres dzieciństwa. Otrzymywaliśmy również książeczki, takie jak na przykład Kornela Makuszyńskiego przygody Koziołka Matołka, o przygodach małpki Fiki Miki, czy Smoku Wawelskim.

Pod choinką znajdowaliśmy różne zabawki: blaszane samoloty, składaki, kolejkę na szynach, modele do sklejania, ułańskie stroje, szabelki itp. Następową wówczas pełnią szczęścia.

A w wigilijny wieczór 1939 r. wszystko miało ulec zmianie. Okupacyjna noc przyćmiewała radość życia. Świadomość koszmarów dnia codziennego – łapanek, aresztowań, więzienia najwartościowszych synów i córek narodu polskiego, wreszcie utrata niepodległości – działała przygnębiająco na każdego Polaka. Jako dzieci nie w pełni zdawaliśmy sobie sprawę z tragizmu sytuacji. Jednak rozmowy ludzi dorosłych, fakty i wydarzenia, o których czasami pokątnie dowiadywaliśmy się, nieustannie potęgowały atmosferę zagrożenia. Wiedzieliśmy, że dzieją się rzeczy złe, że trwa wojna, że musimy godnie ją przetrwać, podtrzymując na duchu naszą ukochaną Mamę, która na naszych oczach borykała się z wieloma problemami dnia codziennego, do których nawiasem mówiąc była kompletnie nieprzygotowana.

Dlatego też w ten dzień wigilijny roku 1939 od rana pomagaliśmy w domu, oczywiście w miarę naszych możliwości. Rąbaliśmy drzewo na święta, paliliśmy w piecach (we wszystkich pokojach), sprzątaaliśmy, oprawialiśmy choinkę ... i ubraliśmy ją jak najładniej, jak tylko potrafiliśmy. Na wi-



Ojciec z bratem Stefanem

gilio było nas osiem osób: pani Pawłowska z dwojgiem dzieci – Jurkiem i Zdziśiem, jej rodzice – państwo Jungowie, oraz Mama – z nami. Starym zwyczajem dodatkowe miejsce przygotowane było dla niespodziewanego wędrowca.

Gdy już zasiadaliśmy do wieczerzy, dzwonek do drzwi zakłócił nasz spokój. W tych czasach, do tego o tej porze, mógł on zwiastować nawet nie-szczęście. Zdarzało się, że bez powodu do mieszkań Polaków wpadała zgraja policji niemieckiej i po przeprowadzeniu rewizji zabierała lokatorów do obozu koncentracyjnego. Cały nastrój świąteczny prysnął. Dorośli zwiesili głowy i z niepokojem spoglądali na drzwi wejściowe. Trwało to dłuższą chwilę, bo ktoś w mrokach nocy pytał pana Junga czy mieszka tutaj pani Łusakowska. Trochę uspokoił się, ale nadal nie było wiadomo o co chodzi. Pan Jung miał poważny dylemat; nie bardzo wiedział co lepiej powiedzieć, być może, że takiej tutaj nie ma? Widząc to wahanie wyłaniająca się z mroków nocy postać przedstawiła się – *jestem Łusakowski*. Nie mogliśmy w to uwierzyć. To chyba niemożliwe! Śni się nam, czy jawa? To nasz Ojczulek! Jak? Skąd? Tatuś nasz wrócił! Łzy szczęścia popłynęły po policzkach naszej Mamy, a i my nieposiadaliśmy się z radości. Gdy ostygły pierwsze emocje i uniesienia dowiedzieliśmy się, że Ojczulek uciekł z niemieckiego transportu, wiozącego polskich oficerów do obozu jenieckiego. Przez jakiś czas ukrywał się w Warszawie, z wystawionymi przez polskie podziemie fałszywymi dokumentami.

Wigilijne miejsce przy stole dla niespodziewanego wędrowca okazało się jak nigdy przydatne. Niestety, szczęście trwało krótko. Los sprzysiągł się przeciwko nam. Po jakimś czasie ktoś ponownie zapukał do drzwi wejściowych. Tym razem ogarnął nas o wiele większy niepokój, a Ojczulek zaczął nawet pytać, czy to mieszkanie ma jakieś tylne wyjście. Wszyscy byli bardzo podenerwowani. Po chwili okazało się jednak, że nic nam nie grozi. Okazało się, że to przyszedł syn dyrektora szkoły, Jasio Furman, aby ostrzec Mamę, że pan Łusakowski został przez jego rodziców rozpoznany w okolicach dworca kolejowego (tam mieszkali). Mama podziękowała mu serdecznie za przekazaną wiadomość. W tej sytuacji Ojczulek zmuszony był nas opuścić i jeszcze tej nocy odjechał pociągiem do Warszawy. Z jego pobytu pozostały nam jedynie wspomnienia, m.in. wspólnie śpiewanych kolęd.



prezentacje

Dominik Sobol

(Terespol)

nie płonę na świeczniku
cichuteńko stąпам po ziemi

mam znajomych:
ateistów
deistów
agnostyków
bardziej i mniej wierzących
różnych

nie oceniam

poświęciłem się przeżywaniu
na swój sposób
po dominikowemu

uszanujcie to
nie pokazujcie palcem -

radykałowie od siedmiu boleści

Zachodzące Słońce

wracamy razem
myślimy
oddzielnie

niewydolność czułości
postępuje z każdą sekundą

ja idę w swoją stronę
ty niby łapiesz za rękę
szturchasz
ale sztuczność tego gestu
nie zmusza
do jakiegokolwiek wysiłku

puszczaj
ostatni raz
ostatni

Nieśmiałość miłosna

niemożność
przewyciężenia siebie
jest znacznie gorsza
od posiadania defektów

Nad grobem dziadka Antka

miałem tylko sześć lat
nie byłem gotowy
na sygnał syreny
zwiastujący koniec

zwiądała parówka przywieziona ze szpitala
mówiła więcej
od najpiękniejszych słów

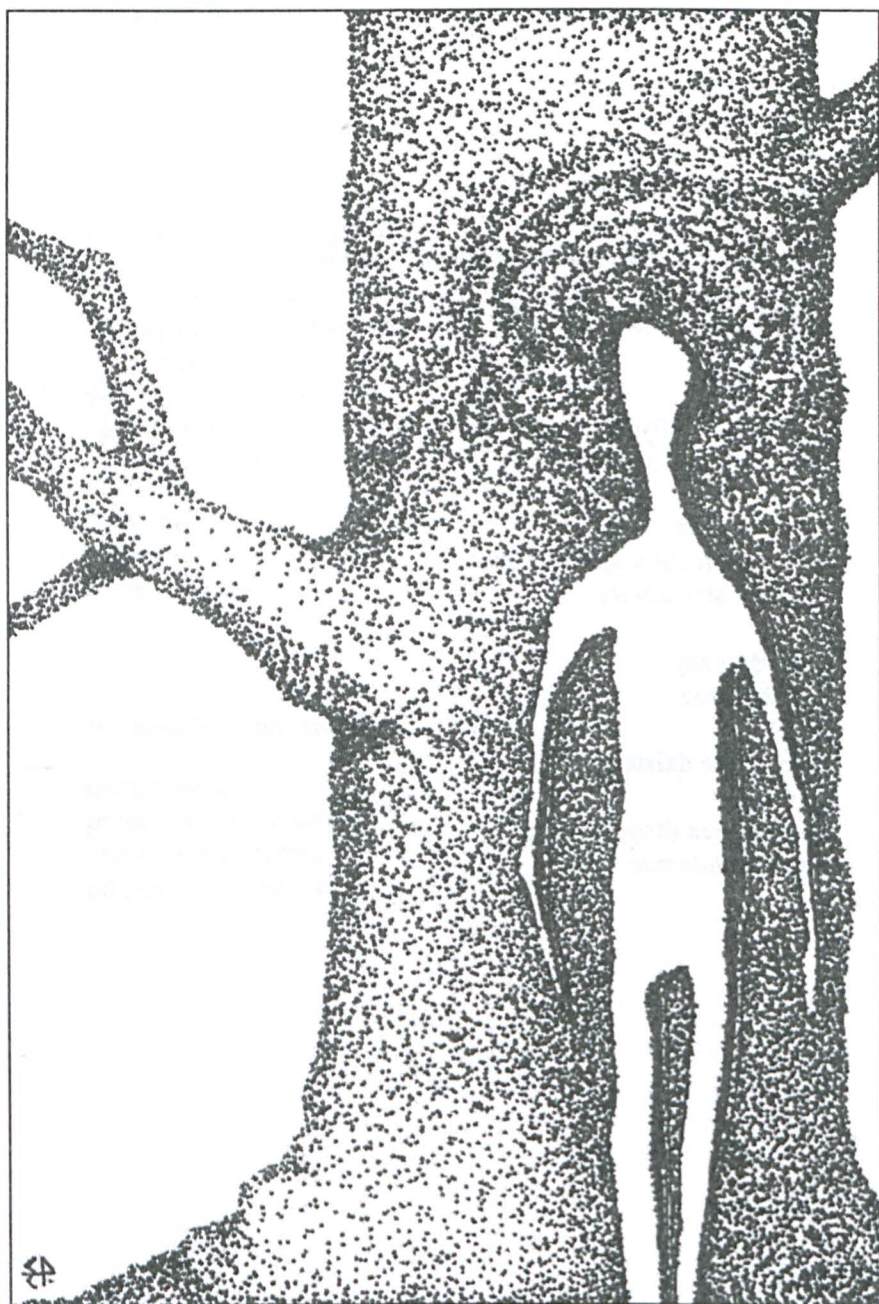
zdażyłeś
pokazać las pachnący przedwiośnią
nauczyć jazdy rowerem

dzięki tobie
spełniłem chłopięce marzenie
o akcji strażackiej

przyśnij się
chociaż raz

może być dzisiaj

brakuje mi drogowskazu
dokąd zmierzać



Stypa

Nienawidzę tradycyjnych ceremoniałów związanych ze śmiercią.
Boli mnie całe ciało na myśl o słowie - UCZESTNICTWO.
Zawsze wymykam się po angielsku podczas wspólnego
rodzinnego płaczu, pijaństwa i obżarstwa. Siadam wówczas pod
pradziadkowym drzewem, zapadając w półsen. Wyobrażam sobie
te wszystkie gęby umiejące myśleć na trzeźwo.

Chociaż raz pożegnajmy najbliższą nam osobę kieliszkiem wody
święconej !!!

Mam chęć krzyczenia, wydawania rozkazów,
rozstawiania po kątach.
Nie robię tego. Jak zwykle.
Wewnętrzna potrzeba bycia przywódcą nie przebija się
na powierzchnię. Usycha.
Ile razy jeszcze będę uciekał przed odpowiedzialnością?
Dąb nie chce mówić. Milczy.

Przebudzenie

Co się stało ?

Nie mieściłem się w dotychczasowym życiu.
Wrak. Cień. Zombie.
Doszedłem do ściany - punktu krytycznego
w którym zwycięża się albo ginie.
Zmiana, zmiana, zmiana - żyć, żyć, żyć ...

Kiedy zrozumiałeś - nie umrę, przeżyję, odrodzę się ?

Odpowiedź dla jednych będzie banalna,
innym wyda się niezrozumiała.
Otóż ktoś mądrzejszy i starszy o pokolenie powiedział:
Jeszcze nie czas na ciebie. Twoim przeznaczeniem jest kochać
oraz być kochanym. Cierpliwości. Ona gdzieś czeka.

Uwierzyłem. Czasami warto słuchać.
Idę zaopatrzyć się w parasol. Tego Dnia Będzie Padał Deszcz.
Ze szczęścia ...

Na większą chwałę bożą...
(Ignacy Loyola)

misjonarz przekonywał -
mały Santiago
wskazując palcem symbol
już wie co powinno być
waszym drogowskazem

w cieniu krzyża
nikt nie zauważył łez
starego szamana

Żywy

jeszcze miesiąc temu
wszystkie cegielki sprawiały ból

siedemdziesiąt siedem razy
uderzałem głową
w ścianę
było ciężko to ogarnąć
jednak
z tym kimś
obok
da się skruszyć
wszelkie mury

dzisiejsza noc
nie kłuje
łatwiej ją zrozumieć

da się przytulić

Ach! Jak ludzie mnie bolą!

Emil Cioran

Wiosna - bez ciebie
Lato - bez ciebie
Jesień - bez ciebie
Zima - to samo co wcześniej, czyli
bez ciebie

brak
tej jedynej
boli najbardziej

wczoraj
nic nie zmaciło lotu malutkiej pszczoły ...

dzisiaj
wszystko przez te cholerne wzdychanie wiatru
leży w porannej rosie
prześiąknięta pogardą wobec zmienności świata

Wybacz jej, Panie
jak tylko dojdzie do siebie
znowu będzie wychwalać Cię
w niedwuznacznym bżyczeniu

Paniom od polskiego

Oszukiwałem. Przyznaję się.
Robiłem to z premedytacją przez wiele lat.
Nie wiedziałem, że to może być takie łatwe.
Zamykałem usta dla zabawy.
Trzaskałem drzwiami mówiąc:
Nie dla Waszego Systemu !

Wychodzę. Nie mam zamiaru wracać.

Mam siłę, która rozsadza kolejne odstępy
między wersami. Do zrozumienia tego
potrzebowałem kilku pokreślonych kartek papieru.
Aha - i długopisu.
Nie belferstwa.

Po pierwsze - nie szkodzić ...
Wielu z nas o tym zapomina.

Ojczyzna wiecznie pełnych półlitrówek

mam przeczucie nawrotu wąsatych bandziochów
już czuję ich oddech
słyszę kolejne cięcia ułańskiej fantazji
sienkiewiczowskie deja vu

nie krzyczę
nie jesteś prawdziwym Polakiem

siedzę pod płotem
wypiłem tylko buteleczkę powietrza
jestem szczęśliwy i nie przeszkadza mi to

nie zamierzam biec z szablą na urojonego wroga

Do Anety

I

urojenie wymarzonego szczęścia
przesłoniło prawdę

biegałem po lesie
nie tylko dla zdrowia
kostkowania mięśnia piwnego
i innych atrakcji

każde kolejne metry
upływające minuty
dawały rozkosz
zapomnienia

czerwcowego uśmiechu
pękniętego ruskiego szampana
podanej ręki

nieodebrane połączenie
będzie prześladować
jeszcze jakiś czas

II

mleko rozlało się
po całym pijanym ciełe

trudno

przepraszam
po trzykroć przepraszam

bez uprzedniej weryfikacji
wszystko jest iluzją

nie przeprasza

Święta Góra

przygarbiony na oko osiemdziesięcioletni batiuszka
wspierający stare kości na dwóch kijach
przypominał amatora nornic walkingu
jakimś cudem zobaczył mój niepokój
gdy siedziałem dwa tysiące metrów nad ziemią

podszedł przywitał się popatrzył w niebo potem na mnie
i rzekł po długiej ciszy:

*Wystarczyła mi sekunda młodzieńcze. Osoba o takich oczach jak ty,
nie może tu być tylko w celach turystycznych.*

*Ty szukasz jakiegoś celu wewnętrznego,
pewnego nieokreślonego rodzaju mszy, misterium.*

Chcesz skądś uciec, zapomnieć.

Jednak od tego co cię tak męczy wiele lat nie uciekniesz.

Od tego nie da się uciec. Z tym trzeba stanąć oko w oko.

*I wtedy wszystkie złe moce, pechy czy choroby - jakkolwiek nie
nazwiesz dolegliwości duszy*

- miną jeszcze bardziej niespodziewanie, jak się pojawiły.

Wspomnisz moje słowa. Wracaj do swojej doliny,

walcz o szczęście, oddychaj spokojnie

i wróć na naszą świętą górę podziwiać zachodzące słońce.

Naprawdę warto. Żyć naprawdę warto.

miał rację.

naprawdę miał rację.

do dzisiaj próbuję zrozumieć,

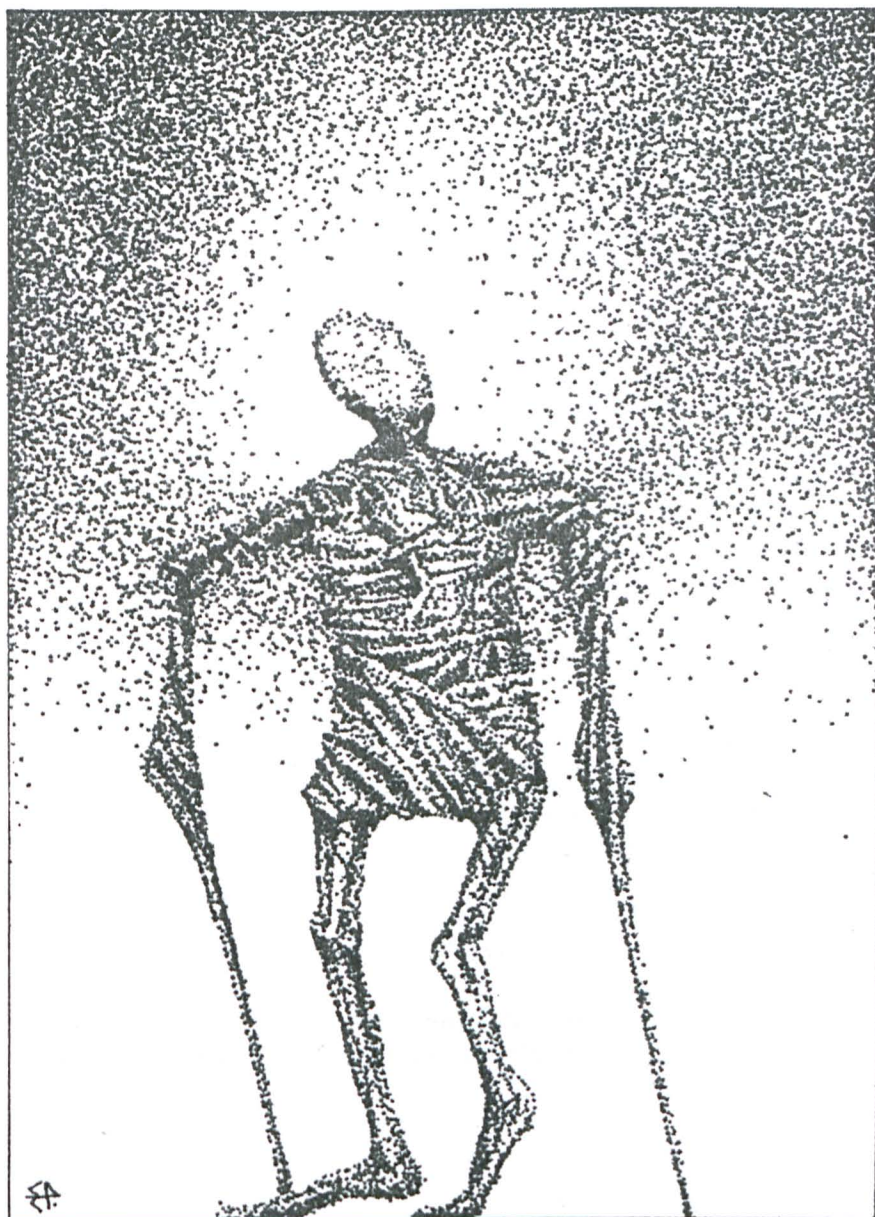
co takiego jest w ludziach w podeszłym wieku

że z najmniejszych poszlak są w stanie wyciągać

wyłącznie słuszne wnioski

zwane prawdą

widocznie doświadczenie życiowe jest najwyższym
leveliem podświadomości



Mućka

I

lubiłem za małolata uciekać przed problemami
na łąkę pod lasem
robiłem to zazwyczaj po śniadaniu
kiedy umysł był skoncentrowany
na zaspokajaniu czegoś innego niż pełność brzucha

mój codzienny rytuał powtarzałem z całą osobistą obrzędowością

po pierwsze - siadałem po turecku
po drugie - dziesięciokrotnie wdychałem i wydychałem
powietrze nosem
poranny mikroklimat wiejsko - urynowy
aby przypadkiem nie zapomnieć skąd pochodzę
po trzecie - modliłem się po swojemu na wschód
a po czwarte - prowadziłem niezwykle ożywione dyskusje
z Mućką sąsiadów

II

Muuuuuuuuuuu

.....to nam wystarczało do porozumienia
z jej jednego jakże prostego dwuliterowego słówka
potrafiłem odczytywać coraz głębsze myśli

nikt nie potrafił tak słuchać
wszystkie najbrzydsze wyrazy jakie przychodziły
mi wtedy do głowy
(a znałem ich zaledwie cztery na – s, ch, k i j)
przyjmowała ze zrozumieniem godnym pozazdroszczenia

III

musiała czuć
moje samooczyszczanie się

Pani Śmierć z Malej Wioski

nie jest gorsza
od tych dam
uprawiających jogging
w Warszawie
Poznaniu
Krakowie

może i ma trochę
grubsze kości
ale to nie ma znaczenia

ostrze działa wszędzie
z taką samą skutecznością

Tożsamość

Południowe Podlasie? Lubelszczyzna? Polska A, B czy C ?
Polak nie-katolik, antyklerykał, liberał
głęboko wierzący, niepraktykujący
mieszkający w konserwatywnym mieście
w jednej szesnastej potomek tatarów podlaskich?

na razie nie potwierdzone

antyfaszysta, antykomunista i jeszcze kilka razy anty
kochający tradycyjnie, nie potępiający kochających
nieco inaczej niż on
za najwyższą wartość uznający wolność osobistą
Niemców i Rosjan lubiący za pewne cechy
za pewne nie
podobnie ma się rzecz z Anglikami, Francuzami
i kilkudziesięcioma innymi nacjami
wszystko to jednak nieważne
najważniejsze jest mieć kogoś
kto kocha

Praprababcia Eufemia

Kantorukom i Popławskim poświęcam

Nie potrafię stwierdzić czy sam to sobie wmówilem.
Chociaż podświadomość
(ostatnio trochę podreperowana)
powtarza od kilku miesięcy:
W dzień i w nocy wszystko ci sprzyja.
Muszę jej wierzyć
(w końcu tyle lat ciągniemy wspólnie ten wózek-)
Życie.
Siłę witalną po D (*d-e-p-r-e-s-j-i – cicho nie gadaj o tym*)
można uzyskać w najmniej spodziewanym momencie.
Skonsultowałem się z babcią mojej babci.
Zapisała na recepcie – pokochaj siebie.
Tylko tyle? To wszystko ?
nie wierzę ... Znowu ten ból.
Cholerny łeb.

Zastosuj się do zaleceń
nie marnuj czasu na
siedzenie przy moim nagrobku.
Bo wilka dostaniesz.

Już dostałem - trochę talentu odrobinę szczęścia
i nadzieję ...
Że coś w końcu ruszy. Do przodu.
Musi. Muszę. Chcę...

Weronika Iwaniuk

(Szachy)

Portret kobiety niedoskonałej

(opowiadanie)

Urodziłem się w niewłaściwych czasach. Spóźniłem się co najmniej o sto dwadzieścia lat. Jeśli mam być szczerzy, to zrzucano mnie również na nieodpowiednią przestrzeń. Potłukłem się podczas samego spadania. Pewnie przez to bolą mnie ciągle kolana i głowa. Od dłuższego czasu zastanawiam się czy nie potwierdzić swoich przypuszczeń u lekarza, ale wciąż mi nie po drodze. Wciąż jakaś obawa puka do skroni, hamując uczynek. No nie wiem, sam nie wiem. Gdybym miał pewność, że trafię do mężczyzny, to może bym i poszedł.

Kobieta robi krzyk o nic. Zamiast przyznać mi rację pewnie by próbowała znaleźć we mnie jakiś ciekawy przypadek. Już ja znam te sztuczki, przejrzałem je i dzisiaj są dla mnie przezroczyste. Byłbym punktem do dyplomu, odkryciem, potwierdzeniem założeń, czyli wariatem. A mnie tylko kolana bolą, no i głowa, bo spadłem przecież nie tam gdzie trzeba.

Zaczęło się od matki, która brutalnie nadała mi imię Hieronim. Historia imienia obiegała wielokrotnie kąty proste rodzinnego stołu przy niemal każdej uroczystości. Miałem być Krzyśkiem, tak wymyślił ojciec. Że też jaj mu zabrakło, aby o to walczyć. Uległ, żeby nie powiedzieć poległ, kiedy matka swoimi wpływowymi łzami przekonała gościa trzymającego długopis. No i jestem Hieronim, czyli ten co niesie płomień. Jaki? Tego już nie dopisali.

Kobiety są szalone. Nie wiem czy były takie zawsze, czy też czasy je zepsuły, ale nie da się ich pojąć. Nie dojdę też do prawdy, bowiem skutecznie ją ukrywają pod zapigmentowanymi powiekami i uśmiechem z pereł. Zdobiają się tak, że człowiek głupieje i zapomina o co w ogóle chce zapytać. Więc jak mam niby je rozwiązać? Jak zrozumieć? Jak rozwikłać tajemnicę, kiedy ciągle oszukują rozdmuchując ślady?

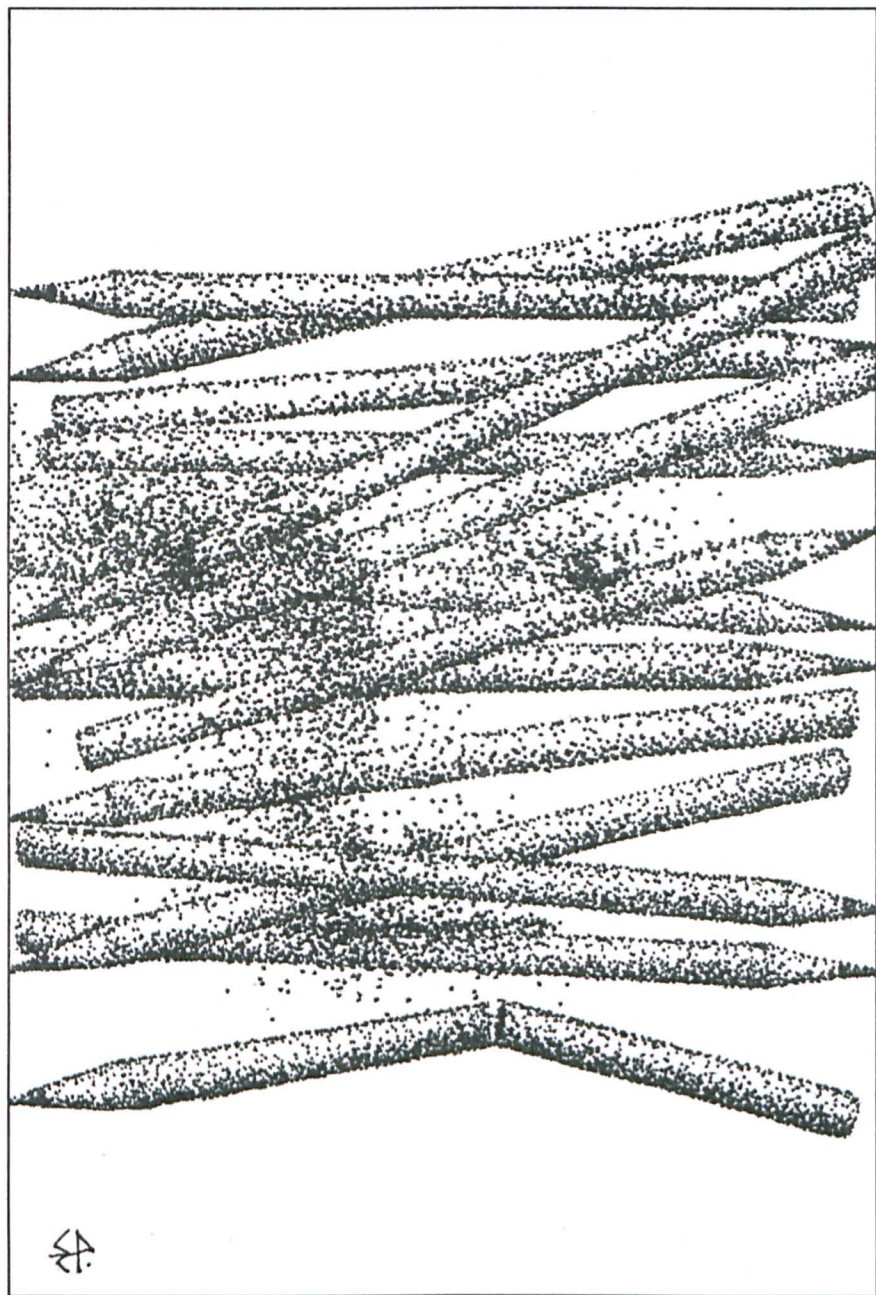
Kiedys musiało być pięknie. Kobiety nas potrzebowały, nas Rycerzy, nas Bohaterów. A teraz? Teraz tęsknię za bajkami. Tak bym chciał je ratować walecznie. Założyć zbroję i zabić smoka w imię honoru i miłości. Póki co mogę jedynie uzbroić się w cierpliwość i ratować siebie przed zgubą koronkowych nakryć i roznegliżowanych pozwoleń.

Kobiety są okropne. Takie okropne, a wielbię je od podstawówki.

W drugiej klasie kochałem Alicję. Miała krótkie włosy, podczas gdy pozostałe dziewczyny nosiły ciasno splecione warkocze. Ona jedna, moja Ala, wyglądała jakby nie dbała o to co ma na głowie. Pomyślałem, że musi tam ukrywać ciekawą zawartość. Postanowiłem ją odkryć. W tym wieku jeszcze się nie używa takich pojęć jak strategia. Planu nie było. Oddawałem jej słodki dodatek do śniadania. Dostawała też moje jabłko i pół szklanki soku z marchwi. Tym ostatnim dzieliłem się najchętniej; nie przepadałem za nim, za to Ala wprost przeciwnie. Dopasowaliśmy się idealnie. Podobala mi się. Miała okrągłą buzię i małą malinową kreskę ust, którą zaciskała złośliwie. A złościła się często. Miała swoje zdanie; to przydatna cecha. Już wtedy walczyła o najlepsze zabawki, o najlepszą pierwszą ławkę, o uwagę opiekunów i koleżanek. Mnie tolerowała i oddawała część zwycięskich łupów. Na pewno czuła pod skórą, że ją wielbię. Nieważne czy mówimy o kobiecie dojrzałej, czy jeszcze dziecku, one to czują od samego początku, mają ulepszony zmysł powonienia. To proste i wszystko tłumaczy. Co by robiła z tymi zdobyczami sama? Więc polubiła mnie, swoją wierną publiczność i pochlebcę w jednym.

Byliśmy nierozłączni i niepokonani. Aż do tamtego dnia. Spóźniłem się do szkoły. Były korki. Matka kłępała przez całą drogę, bo przeze mnie spóźniła się również ona. Niektórych słów jeszcze nie rozumiałem. Wykrzykiwała je z takim przejęciem, trąbiąc na auto zakorkowane przed nami. Potem wpadła w szal, bo poszło jej oczko w rajstopach. Ten scenariusz nie był mi obcy. Łatwo było przewidzieć jej reakcję. W dodatku padało. Kiedy wreszcie dotarliśmy, odprowadziła mnie do drzwi, poprawiła przyлизane deszczem włosy, podała mi worek z kapciami i wepchnęła do środka, mówiąc: *może jeszcze nie wszystko dzisiaj stracone?* Nie wiedziałem co miała na myśli ale wracając teraz do tego zdania mam wrażenie, że stanowiło rzuconą w przestrzeń przepowiednię, która musiała się spełnić. Stracone było wszystko już od samego wejścia.

Ala siedziała jak zwykle w pierwszej ławce, ale nie zatrzymała miejsca dla mnie. Musiałem usiąść w osłej – ostatniej. Nie wiem czy bardziej upokarzające było moje położenie, czy świadomość, że moja ukochana wycykała mnie, nie zawałczyła o nasze wspólne dzisiaj. Olała mnie, nie mając pojęcia jakim bólem było oglądanie jej pleców. Przecierpiałem tak całą lekcję. Na przerwie próbowałem podejść i zagadać ale Zużka, która mnie Podsiadła, nie zamierzała do tego dopuścić. Widząc jak podążam w kierunku Ali zaczęła się chwalić, pokazywać jakieś nowe gumki do ścierania ołówka o zapachu owoców. Wysypała całą zawartość piórnika, żeby mnie zatrzymać. Nie miałem szans. Usunąłem się na najdłuższe w moim życiu dziesięć minut, wierząc, że wszystko naprawię na lekcji rysunku.



Alicja kochała rysować. Dostała od cioci przepiękne kredki, których nikomu nie pożyczala. Były święte, tak samo jak ona, kiedy mazala nimi po kartkach. Byłem zazdrosny o jej hobby; ja nie podzielałem tego zainteresowania. Pani Janina od plastyki torturowała mnie co tydzień swoimi dziwaczными pomysłami. Kazała nam rysować ruch albo wyobrażenie myśli. Kolejna kobieta, mająca również pochyłą nad czołem. Alicja natomiast rozumiała Panią. Lekcja rysunku była moją szansą. Ala bywała na niej łagodniejsza. Wybiła godzina. Wróciłem do swojego szeregu. Temat, jak się spodziewałem, nie był prosty: „Jakiego koloru użyłbyś do namalowania swojej wyobraźni.” Potrzebowałem pomocy. Gapilem się na plecy mojego ratunku, z nadzieją, że wyczuje i się odwróci, powie: *podejdz Hieronim, pokażę ci o co tutaj chodzi...* Ale nie, nie odwróciła się, a ja nie miałem pomysłu jak ją zaczepić. Kiedy człowiek znajduje się w ekstremalnych warunkach, kiedy chodzi o jego być lub nie, umysł wytwarza nową substancję, która krystalizuje plan. Dokładnie tak jak wrzątek ścina jajko. Pojawiła się strategia, moja pierwsza strategia, od której zależało całe młode życie. Wstałem. Niepewnym krokiem podszedłem do Ali i od niechcienia zapytałem czy pożyczy mi czerwoną kredkę. Poszło gładko. Bez większego zainteresowania podała mi całe opakowanie, mówiąc, że już skończyła. Musiała przecież zaznaczyć, że jest lepsza.

- *Weź wszystkie, bo się później nie doliczę.*

Boże, jaki byłem szczęśliwy. Pożyczyła mi swoje kredki. Nie było w klasie takich par oczu, które nie wyrażałyby zdziwienia. Na pewno każdy poczuł się gorszy, bowiem nie doświadczył takiego wyróżnienia. Miałem trzydzieści idealnie zatemperowanych, powierzonych mojej opiece, kredek Alicji Potockiej. Teraz wystarczyło narysować nimi coś ponadprzeciętnego i odzyskam moją ukochaną. Zdobędę jej uznanie i podziw. Moja wyobraźnia była kolorowa. Mazałem wszystkimi kredkami jak natchniony wariat. Efekt trudno ocenić, bo się na tym nie znam i nie znałem nigdy. Kiedy skończyłem swoje arcydzieło starannie zapakowałem wszystkie kredki do pudełka. Oczywiście każdej nadałem uprzednio spiczasty kształt ołówka i ułożyłem od najjaśniejszej do najciemniejszej, jak to robiła Ala. Ruszyłem w jej kierunku.

Tych kilka metrów zaważyło na moim życiu. Los się ze mnie zaśmiał i podciął mi nogę. Przewróciłem się, rozsypując i łamiąc święte kredki. Kiedy spojrzałem na Alę wiedziałem, że na krzyku się nie skończy. Jej załzawione złością oczy recytowały nienawiść trzeciego stopnia. Może bym lepiej zrobił nie podnosząc się i udając, że odniosłem kontuzję kostki lub kolana? Nie wiem co mnie podkuśiło aby jednak wstać i ją przeproszać. Kiedy wydobyłem z siebie pierwszy dźwięk ofiary Ala rzuciła się na mnie jak dziki zwierz i zaczęła obijać pięściami głowę. Uderzała gdzie popadło. Próbowałem się bronić. Pierwszy raz zwróciłem łaskawy wzrok w stronę Pani, która zdaje się do-

piero teraz zarejestrowała całe zdarzenie. Odkleiła ode mnie rozwścieczoną Alicję i ... nie wiem co było potem, ponieważ nie miało to najmniejszego znaczenia. Pani coś mówiła, klasa zalewała się ze śmiechu, wytykając mnie palcami, a Alicja domagała się zadośćuczynienia.

Karę ponieśliśmy oboje, klęcząc na grochu. Do tej pory nie wiem za co? Zostałem przecież pobity! Okrutnie poniżony przez dziewczynę! Gdybym jej tak nie kochał, nie zgodziłbym się za nic na to klęczenie. Zrobiłem to tylko dlatego, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Moja kara była pierwszą lekcją dotyczącą kobiet. Ukarala mnie kobieta za kobietę. Tak straciłem pierwszą miłość.



Jurata Bogna Serafińska

(Warszawa)

Poetycki sen o domu

Ostatni tomik Olgi Lalić-Krowickiej – „Kolejny raz śniłam dom” – jest o wiele trudniejszy do omówienia od jej wcześniejszych poetyckich zbiorów. Poetka zaznaczyła, że wiersze w nim zawarte napisane zostały w latach 1996 – 2000. A więc, są to utwory młodziutkiej dziewczyny, która nieoczekiwanie znalazła się w centrum wydarzeń wojennych, która nagle straciła ojczyznę, spokojne dzieciństwo, poczucie bezpieczeństwa i sens życia, a także pewność, że świat znajduje się pod opieką dobrego Boga. Wydarzenia, które przeżyła kilkunastoletnia Olga Lalić spowodowały, że musiała bardzo szybko wy dorosnąć. Proces ten dokonywał się dosłownie z dnia na dzień. A jednak, gdzieś na dnie serca ukryło się i przechowało jej dziecięce ufne ego.

Stany smutku, rozpacz i tęsknoty możemy prześledzić na kartach jej tomiku. Ojczyznę młodej poetki była Jugosławia. Ta ojczyzna w pewnym momencie przestała jednak istnieć w dotychczasowym jej kształcie, została utraczona. Młodziutka Olga, której ojciec jest Serbem, a matka Polką, musiała w pośpiechu opuścić ojczystą Chorwację i uciekać do Polski. Poetka była przepełniona bólem, ale i świadoma tego, że swoje uczucia chce przelać na papier:

*Jak wyrzucić z siebie ból
Skoro nawet łzy zamarzają?
Dokąd iść?
Gdzie się schować?*

W wierszu „Jaskółka” pisze o tęsknocie za utraconą ojczyzną:

*Na pewno przyleciała stamtąd
poznałam po świergocie
[...] odcień nieba na skrzydłach
królestwo szatwii i jaśminu...*

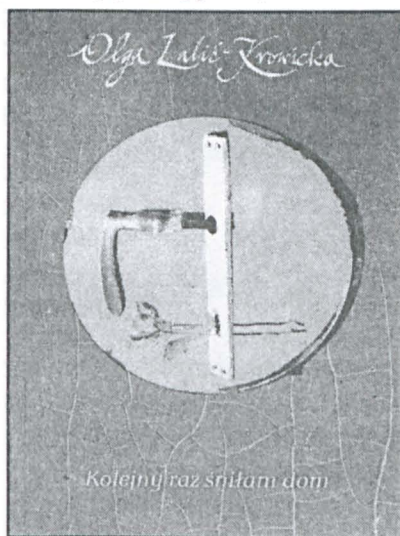
Dramatyczne wojenne przeżycia bardzo często są nie do udźwignięcia, nawet dla osoby dorosłej. Olga Lalić uciekła od okropności wojny w świat poezji. Opisała drogi przepełnione wygnańcami, płonące domy, walęsające się

głodne koty i psy, deszcz, przenikliwe zimno, brud, niedostatek pożywienia, niepewność jutra, ale także sukienkę z róż młodej Dalmatynki, biegnące za pociągami krasnoludki, czy lalkę, czekającą na swoją małą panią. Młodziutka Olga widziała wokół siebie rannych, umierających i mordowanych, gwałcone kobiety i dziewczynki, kopane w pośpiechu groby. Dostrzegła, że żyjący dotychczas w zgodzie chrześcijanie i muzułmanie z dnia na dzień stali się nagle wrogami – na śmierć i życie. Poetka chce wiedzieć, gdzie jest Bóg! Czyżby stracił władzę?

W co mam wierzyć – pyta tytułem kolejnego wiersza i dodaje w jego pierwszych linijkach:

*... w zgorzkniały świat
Smutnego Boga ...*

Temat Boga jest dla niej bardzo ważny; odnajdujemy go na wielu kartach tomiku:



*Bóg posłuchał przez chwilę i odszedł
[...] Dlaczego Bóg odszedł*

Świat pozostawiony przez Boga jawi się jako oczekująca na pokój księga zapomnianych ludzi i zwierząt, którzy utracili już nadzieję.

*Nie widzimy światła [...]
Nie widzimy powodu
Żeby go szukać dalej.*

Poetka oskarża czynniki polityczne odpowiedzialne za ogrom nieszczęść i tragedii, będących wynikiem wojny. Pisze o ideologii, która nie jest ślepa:

*Nie jest krótkowzroczna.
Nałożyła już setny raz odświętne soczewki.*

Dokąd zmierzasz człowieku – woła kolejnym tytułem, i dodaje ze smutkiem w innym wierszu:

*zapach radości szumi
w innych morzach.*

W wierszu opatrzonym datą „Lato 1995” czytamy słowa piętnastoletniej dziewczyny – *Z daleka słyszę jak umierają sny*. Bezpośrednio z tym wierszem sąsiaduje wiersz tytułowy

*Kolejny raz
Śniłam
Dom.*

Piętnastoletnia poetka już wie, że jej dom i jej ojczyzna zostały utracone, umarły, a gołąb pokoju został zestrzelony. Wie, że na każdym kroku czyha śmierć. Píše o tym w wierszu „Odrobina białego szczęścia”:

*Nie wychodź na ulicę
Może cię zabrać
Oddech spalin
Z ciebie nie zostanie nic
Kot wskaże ci biały raj*

Nawet w najgorszych momentach powracają myśli o życiu normalnym, spokojnym i ustabilizowanym, jednak w tym świecie wojny jest to nierealne; chyba że dzięki wyobraźni uda się przenieść chociaż na chwilę do miejsca poza czasem:

*Wybiła godzina niezegarowa
Śmiało popchnęłam drzwi*

Wytchnienie dla poetów jest właśnie w tym pozornie absurdalnym świecie, w którym ...

*Aniołowie
Posypują
Cukier niebem*

Dobrze, że poeci potrafią odnaleźć drogę do tego niezniszczalnego miejsca bez miejsca, poza czasoprzestrzenią, które opisane zostało przez Jacka Derridę jako umożliwiające trwanie kosmicznej rzeczywistości; przestrzeń bez miejsca, będące warunkiem nowego początku (nawiązanie do platońskiej *chory*). Nowy początek, to jest właśnie to, co musi odnaleźć poetka aby pomimo traumatycznych przeżyć żyć dalej

Przeżycia wojenne autorki były na tyle silne, że tomik powstał dopiero w 2012 r. Musiało minąć ponad dziesięć lat, aby poetka mogła wrócić do tych wierszy i dokonać wśród nich wyboru. W tomiku nie ma szczęśliwego zakończenia, bo być nie może. Dotychczasowy świat runął, a nowy trzeba dopiero w trudzie budować. Dalsze losy poetki wskazują, że znalazła w sobie dość sił dla budowy tego nowego świata. W tomiku jednak o tym nie przeczytamy. Są w nim zapisy z lat 1996 - 2000. I dobrze, że nie ma tam późniejszych wierszy - komentarzy. To przezroczysty zapis wydarzeń, wiersze zamknięte w minionym kryształce czasu.

Wiersze z tomiku „Kolejny raz śniłam dom” to dobra poezji. Mają też one wartość autentycznej relacji bezpośredniej uczestniczki wydarzeń, jakie miały miejsce na terenie Jugosławii podczas krwawej wojny domowej. To trudna poezja, wymagająca od czytelnika skupienia i uwagi. Jednak pomnaża ona nasze rozumienie współczesnego świata. To lekcja historii dla nas, którzy żyjemy w miarę bezpiecznym kraju i nie jesteśmy narażeni na tak dramatyczne przeżycia, jakie były udziałem Olgi Lalić-Krowickiej. Dobrze, że wydanie tego tomiku zostało wsparte przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Olga Lalić-Krowicka, *Kolejny raz śniłam dom (wiersze pisane w latach 1996 – 2000)*, Krosno 2012

Maria Makarska

(Lublin)

Życie boli ... (o poezji Weroniki Iwaniuk)

Choć *częstotkliwości* (2013) to dopiero drugi tomik wierszy Weroniki Iwaniuk (ur. w 1981 r.) – pierwszy zatytułowany był *Strych* (2004), to autorka należy już do poetek znanych na Południowym Podlasiu. Publikowała wiele swoich wierszy między innymi w *Gościńcu Bialskim*, czy *Podlaskim Kwartalniku Kulturalnym*, z powodzeniem zajmuje się także twórczością prozatorską.

Tytuł nowej książki poetyckiej Weroniki Iwaniuk, *częstotkliwości*, jest intrygujący dla czytelnika, a i znaczenie tego neologizmu można, tak jak sny, interpretować na wiele sposobów. Natomiast dla autorki ten słowotwórczy zrost (*często i tkliwość*) ma szczególne znaczenie, ponieważ oddaje całą kwintesencję jej poezji.

częstotkliwości

*serce nie sługa
mówią
a takie poddane
otwiera się*

*przyjmuje
całuje podzielone dni
i podzielone minuty
nie dzieli tylko gości
gość pozostaje cały
i jak na gościa przystało
zostawia jakąś pamiątkę
na podzielone zawsze*



Śmiem twierdzić, że ten wiersz to *credo* poetyckie Weroniki Iwaniuk. Jej poezja skupia się przede wszystkim na prezentacji uczuciowej człowieka, głosi pochwałę czułości, a tym samym zyskuje pogłębioną analizę psychologiczną bohatera wierszy. Dychotomia dostrzegana w ocenie ludzi uwydatnia znacząco paradoks ludzkiej egzystencji. Człowiek, jak pokazuje poetka, to zagadka

dla samego siebie – jesteśmy rozdarci wewnętrznie, przeżywamy nieustannie stany schizofrenii. Ciągłe ścierają się w nas emocje – od wielkich uniesień, do wielkiej nienawiści. Ciągłe odgrywamy jakieś role, po to, aby *odegrać spektakl uczuć*, a i tak inni oceniają nas zawsze po swojemu.

*i kruszą nazwy prawd boleśnie
wciskając w gardła przesolone słowa
gdzie teatr gestów mówi nam,
- za wcześnie (...)*

Ani przed takim stanem rzeczy nie można uciec, ani tego przezwyciężyć i jest to dla Weroniki Iwaniuk inspirujące oraz twórcze, bo nieustannie mobilizuje ją do rejestrowania własnych emocji, zachwytów, fascynacji i niepokojów. Stąd te jej „częstotkliwości”: // *Bóg dał mi skrzydła ale nie nauczył latać /nie rozumie mnie ten /który nigdy nie miał skrzydeł //*

Książka poetycka Weroniki Iwaniuk składa się z trzech cykli wierszy, zatytułowanych *łez chwywanie*, *uczuć wizerunki* oraz *powiek milczenie*. Bardzo interesujący formalnie jest drugi cykl wierszy, tworzy on bowiem pewną dramaturgiczną całość, rodzaj poematu. W skład jego wchodzi jedenaście wierszy. Występuje w nich dwóch bohaterów lirycznych, trzecią zaś postacią jest narrator liryczny. Jednym z bohaterów jest kobieta, *Ona* – o imieniu *Fao*, która tak siebie charakteryzuje: // *więcej czasu poświęcam dopieszczając /swoją wizerunek /niż uczuciom nierozpoznanym //*. Drugim bohaterem jest mężczyzna, *On*, który mówi o sobie: // *Jestem Savoir i już trochę żyję. /Byłem poetą, malkierem giełdowym, nauczycielem. (...) /Byłem w Japonii, Korei Południowej. (...) /Byłem z masą kobiet //*. Narrację w większej części prowadzą On i Ona, a trzeci narrator to postać anonimowa, obserwator, który rzadko zabiera głos. Akcja tego dialogu odbywa się w ciągu jedenastu dni i toczy się współcześnie, jest // *XXI wiek a świat raczkuje emocjonalnie //*. Cały dialog między osobami utrzymany jest w konwencji snu, magii, marzenia, absurdu. Upozorowany dialog (właściwie osoby monologują) dotyczy projekcji wzorca idealnego partnera (kochanka) i wzorca idealnej miłości. Bohaterowie to młodzi, piękni i bezpruderyjni ludzie. Całość poematu kończy się zaskoczeniem, ponieważ wyśniony kochanek *Fao* nie był jednoznaczny, nie był idealny; okazało się, że miał jednak ryse, posiadał cechy prawie diaboliczne: // *Savoir miał oczy czarne jak węgiel /Jego czarne tęczówki gubiły źrenice. /To odkrycie obudziło lęk/*.

Weronika Iwaniuk demitologizuje w swoim poemacie romantyczny model kochanka i romantyczny model ideału miłości, który nadal w każdym z nas żyje. Ironizując, celowo tworzy kiczowaty melodramat, prowokując i kłopotując czytelnika zmusza go do głębszych refleksji. Zatarcie granicy między marzeniem sennym a realnością to celowa konwencja zastosowana przez au-

torcę w cyklu *uczuć wizerunki*. Jak w filmie z gatunku *fantasy* miesza kadry czarno-białe, tworząc nastrój fantastyki i grozy. To tylko w marzeniu sennym może się zdarzyć idealny kochanek i idealna kochanka, mająca więcej cech z nimfy wodnej, niż z kobiety, zdaje się mówić poetka. Weronika Iwaniuk w swoich wierszach pomieszczonych w cyklu *uczuć wizerunki* tworzy cudną bajkę o miłości dwojga kochanków, pełną magii i onirycznej melancholii. Bohaterów sytuuje w odpowiedniej scenerii, bo każdy z nas o takich bajkach marzy, bo każdy z nas chciałby czytać takie bajki dalej, bo to projekcja naszych marzeń o miłości.

Pisanie o miłości to tak stary temat, jak stara jest ludzkość. Pisanie o miłości jest niebezpieczne, bo możemy popaść w banał. Rzeczywistość najczęściej *skrzeczy* i tak to też postrzega Weronika Iwaniuk, dając temu wyraz w cyklu wierszy p.t. *powiek milczenie*. Jej poezja to wiersze w dużym stopniu o niespełnieniu, o niemożności, o tym, że każdy sam wybiera swoją ścieżkę w życiu i sam zanurza się w swoim świecie miłości. Żywotne są dla niej dylematy z którymi boryka się podmiot jej wierszy – odrzucenie, zdrada, samotność: *//dokąd iść dalej mam /gdy wiatr zaciera wszystkie ślady //*. Stąd jej weryfikacja utartych stereotypów. To jej punkt widzenia: *//mówiłam ci już że cię nie nawidzę//*.

Wiersze Weroniki Iwaniuk są niczym lustro nieustannie odbijające rzeczywistość. I to jest dla poetki dramatyczne. Odnosi się wrażenie, że bohaterka wierszy jest samotna, a przyczyną tej samotności jest totalna niezgoda, poczucie zagrożenia i osaczenia przez ludzi, których kocha i którzy ją kochają.

tatusiu

*facet bez twarzy ojcem nazywany
wysła list pełen skarg (...)
podniosę głowę wysoko
niech zobaczy jak pluje
słowem (...)
sam mi zęby dałeś
nie dziw się teraz
że gryzę*

Reakcją na samotność i niezrozumienia jest dla Weroniki Iwaniuk ucieczka w poezję: *//przez tyle lat szukałam swojego miejsca na ziemi /nieśmiertelnego ponadczasowego /nieograniczonego w swej nieskończoności /i znalazłam go / w poezji//*. To wiersz, to poezja, są dla niej rodzajem ogniwa, łącznika spajającego postrzeganie i projekcję ludzi i świata ze światem realnym, którego nie akceptuje: *//przeklinam całą ludzkość /która swą normalnością /(...) /betonowym półświatem zabija moją wolność //*.

Powtarzający się w jej poezji motyw pisania twórczego, motyw kreacji, to jest jej świadomy wybór, jej droga, to ciągły proces, który będzie trwał. Wykreowana przez poetkę bohaterka jej wierszy, to nie bierny obserwator rzeczywistości, to kobieta dojrzała, która ceni sobie nade wszystko wolność osobistą, niezależność i swój subiektywny świat, to boleśnie świadoma, wrażliwa, a także czuła kobieta. Tworzenie poezji to dla niej jedyna broń, jej sposób egzystencji i ochrona przed niewrażliwymi ludźmi. Stąd poezja Weroniki Iwaniuk jest tak głęboka i życiowo mądra. Każdy jej wiersz z osobna to studium filozoficzne na temat egzystencji człowieka. Jej wiersze to parabole, można je odczytywać na różnych poziomach. Powściągliwość, duża intuicja, każą jej być zdystansowaną i zachowywać się taktycznie wobec człowieka. Chociaż życie często ją uwiera i boli, to przede wszystkim właśnie życie ją fascynuje, stąd tyle ciepła emanuje z tej poezji. Konsekwentnie wypracowuje swoją poetykę, z bardzo dobrym skutkiem. Ma swoją strategię; zakwestionowała realność świata i znalazła bezpieczne schronienie w wierszu.

*(...) kobieta traci przytomność
gdy ma na to ochotę
(...)
kobieta gdy traci przytomność
nie lubi się tłumaczyć
(...)
tylko ona
ledwo ocierając się o jawę
milczy że kocha*

Weronika Iwaniuk, *częstotliwości*, Biała Podlaska 2013 Miejska Biblioteka Publiczna, Towarzystwo Miłośników Podlasia.

Pogańskie przytulanki

Minał czas zadumy nad życiem i jego kresem – Wszystkich Świętych oraz dzień zaduszny. Naród objechał cmentarze, odwiedził mogiły swoich bliskich. Wspomnienia nachodziły ... mniej lub bardziej podniosłe. Niektórych zmarłych wspominano ot tak, bo trzeba przysłowiową zdrowaśkę odmówić, za innych modlono się gorliwiej – od Ojcie Nasz począwszy, przez Zdrowaś Maryjo, na wiecznym odpoczynku kończąc.

Znicze? Znicze, nieodzowny element tych dni! Ich zapalenie uspokaja. Palący się znicz, to także symbol spełnienia obowiązku. Tak trzeba! Z pełną reklamówką lampek biegać po cmentarzu, baaaaa, nawet jeździć po kraju! Im większy znicz, tym godniej wypełniony obowiązek, co zapalającemu przydaje spokój duchowy na kolejny rok.

Byłem i ja na tych uroczystościach, zapaliłem znicze, to i wcale nie odbiegałem zachowaniem od innych wiernych. Trzymałem się też swojej prywatnej tradycji ... nie wystąpiłem do końca mszy świętej na moim parafialnym cmentarzu. Zawsze jest zimno, a wtedy czuję jakieś bóle. No cóż, tak ze mną jest.

Wychodząc z cmentarza miałem groby zmarłych, także tych, którzy walczyli o wolność kraju, poległych podczas II wojny światowej. Sprzątnięte oczywiście przez harcerzy, z jednym – zazwyczaj najtańszym – zniczem. Za murami cmentarza świat żywych robi biznes. Prawdziwe święto ... nie koniecznie wszystkich świętych. Stragany, wieńce, znicze, chryzantemy, nawet pamiątki z danej miejscowości. Ot, taki sobie odpust. Ksiądz ogłosił, że kto odwiedzi cmentarz ten otrzyma odpust zupełny.

I tak jak co roku doszedłbym spokojnie do domu, bo mam to szczęście, że kości zmarłych z mojej rodziny nie walają się po świecie. Doszedłbym do domu, gdyby nie drzewo. Żywy pomnik dla zmarłego – Dąb Papieski. Jasne, że pod korzeniami tego dębu nie ma szczątków doczesnych naszego papieża. Dąb, a raczej póki co takie metrowe bonsai dębu, posadzony został jako żywy pomnik. Taka sytuacja. Noooo ... poganizm! Normalny poganizm wraca! Mieszko I wycinał święte gaje i inne drzewa uznawane za święte, a tu? – Dąb. Ach, dąb! Posadzony przez wszystkich ważnych z tej gminy, a może jeszcze i z powiatu. Poświęcony przez proboszczów, przeorów, bo każdy chce mieć swój udział w tworzeniu żywego pomnika. Dąb posadzony ku pamięci zmarłego papieża Jana Pawła II. Tylko, kurna, jak papież zostanie świętym, to pod

taki pomnik jak pies będzie sikał, to trzeba będzie go gonić i krzyczeć *poszedł won?*

Świątym zostaje się na zawsze, a jak to coś podgryzą pędraki i uschnie, to posadzimy takie drugie coś. A ja, w dzień Wszystkich Świętych powinienem przytulić się do tego drzewka i poprosić o siłę i wsparcie? Jak poganizm, to po całości. Może i znicz zapalę ...? Ale jak pięknie i roślinka zostanie osmalona. No dobra, nie ma w mojej miejscowości pomnika św. Jana Pawła II, to pomodłę się przy drzewku. Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie, Janie Pawle II proszę o wsparcie. Może to i dobre, drzewko być może zaszumi, jakby chciało mi coś powiedzieć. W sumie nie jest to takie złe – pomnik, ale nie betonowy.

Szybko obróciłem się i poszedłem na kolejny plac, oddalony o 50 metrów, do kolejnego drzewka, ku pamięci prymasa Stefana Wyszyńskiego. Przytuliłem się do drzewka. A oddalona o kolejne 10 m. znajduje się roślinka poświęcona pamięci żołnierzy Armii Krajowej. Tym razem ją pominąłem, ale za rok, przytulę się do wszystkich trzech. Ot, taka sytuacja.

Jarosław Bartniczuk

Pasja czytania

13 sierpnia 2013 r. Miejska Biblioteka Publiczna w Białej Podlaskiej w sposób nietuzinkowy promowała czytelnictwo. „Akcja Księgozbiór”, o której tutaj mowa, zainicjowana została w 2011 r. w Łodzi. Była to odpowiedź „w realu” na „facebookową potyczkę” pomiędzy profilami fanów „nieczytania” i profilem „Pokażmy nieczytającym, że jest nas więcej”. Dwie osoby uruchomiły całą machinę, do której przyłączyło się wkrótce znacznie większe grono łódzkich bibliotekarzy, a zaraz potem liczni bibliotekarze z całej Polski. Tegoroczna edycja objęła 42 miejscowości, a za sprawą Barwnej Multimedialnej Biblioteki dla Dzieci i Młodzieży również Białą Podlaską. Miejmy nadzieję, że nie była to ostatnia tego rodzaju akcja. Być może za kilka lat cały Plac Wolności zapełni się miłośnikami czytania. .

Piękne dobra w każdym względzie

7 września odbyło się w Białej Podlaskiej „Narodowe czytanie” dzieł Aleksandra Fredry. Akcję zorganizowały: Bialskie Centrum Kultury, Miejska Biblioteka Publiczna w Białej Podlaskiej oraz Muzeum Południowego Podlasia. Przedsięwzięcie to zostało zainicjowane przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego, jako hołd jednemu z najwybitniejszych



szych twórców polskiego romantyzmu. W bieżącym roku minęła 220 rocznica urodzin mistrza. Bialskie czytanie odbyło się w niezwyklej scenerii zabytkowego zespołu zamkowego Radziwiłłów. Dodatkowym elementem, oddającym

charakter czasów romantyzmu, byli „aktorzy” czytający utwory w strojach epoki. Można więc było usłyszeć „Zemstę” oraz wiersze „Paweł i Gawel”, „Małpa w kąpiel”, „Osiołkowi w żłoby dano”. Jako pierwsi wiersze Fredry czytały dzieci z grup teatralnych Bialskiego Centrum Kultury. Następnie do czytania „Zemsty” przystąpili dorośli (podzieleni na cztery grupy), reprezentanci różnych środowisk lokalnej społeczności: przedstawiciele władz samorządowych, członkowie amatorskich grup teatralnych, pracownicy i animatorzy kultury. I tak, w rolę Cześnika wcielili się - Edward Burda, Andrzej Czapski, Grzegorz Michałowski; w rolę Rejenta - Adam Korszun, Ryszard Burczak, Henryk Szpura, w rolę Papkina - Tadeusz Humin, Maciej Buczyński, Mariusz Podgórski, Mariusz Maksymiuk; w rolę Postoliny - Grażyna Poniatowska, Anna Kaliszuk, Halina Besaraba i Urszula Pietruczuk; w rolę Klary - Gertruda Matysek, Renata Szwed, Justyna Weremko; w rolę Wacława - Jakub Sielski, Adam Olesiejuk, Sebastian Ulita, Michał Litwiniuk; Śmigalskim został Filip Stańczuk, natomiast Dyndalskim - Henryk Buczyło i Marek Pietrzela. Spotkanie zakończył wspólny polonez uczestników czytania oraz zgromadzonej publiczności. A na koniec, Klara i Wacław zobowiązani zostali do dzielenia weselnego tortu.

Dożynki

Na przełomie sierpnia i września, zgodnie z tradycją, odbywały się w naszym regionie dożynki. Miały one charakter religijno-ludowy, powiązany z różnorodnymi formami zabawowymi. Była to jedna z nielicznych okazji do prezentacji dla szerokiego kręgu publiczności miejscowych kapel ludowych, strojów regionalnych oraz twórczości ludowej. Tradycyjnie zorganizowany został również konkurs wienców dożynkowych. Nie można jednak twierdzić, że wicie wianków jest obecnie wyłączną tradycją miejscowych rolników (z sołectw, czy też gmin), bo w dzisiejszych czasach wieniec dożynkowy można kupić nawet przez Internet. No cóż, po iluś tam latach może dojść do sytuacji, że wieniec dożynkowy sprowadzane nam zostaną nawet z Chin. Szacunek do pracy rolnika, jego trudu, był głównym tematem jaki podnoszono w oficjalnych wystąpieniach władz samorządowych. W części nieoficjalnej, jak co roku, odbywały się zabawa „ludowe”.



Egzotyczny koncert

16 lipca 2013 r. miał miejsce w bialskim amfiteatrze koncert zespołów folklorystycznych z Chin, Gruzji i Białej Podlaskiej. Wystąpiła m.in. grupa „Colorful Guizhou Culture and Arts” z Chin, pod dyrekcją artystyczną Pu Qian. Jest to przyszkolny zespół z miasta Guizhou, położonego na południu Chin.



Z grupą tą pracują instruktorzy z różnych regionów państwa środka, m.in. z Akademii Tańca w Pekinie oraz Tanecznego College w Szanghaju. Zespół zaprezentował widowisko „Wiatr barwnego Guizhou”, w artystycznej formie przedstawiające tradycje kulturowo-cywilizacyjne w/w prowincji, a także naturalną scenerię, w harmonii z naturą człowieka. Gruziński Zespół Tańca „Varazi” z Tbilisi, pod dyrekcją artystyczną Paata Sokhadze, zaprezentował tańce z wszystkich części kraju, w charakterystycznych dla danego

regionu strojach. Tańce dokładnie odzwierciedlały waleczny charakter Gruzinów oraz delikatność Gruzinek. Ponadto w koncercie wystąpili: Zespół Pieśni i Tańca „Podlasiacy” z Białej Podlaskiej - pod kierownictwem Magdaleny Osmulskiej, oraz Kapela Ludowa „Podlasiacy” z Białej Podlaskiej, funkcjonująca pod kierownictwem Andrzeja Karasia.

Nadbużańska Biesiada

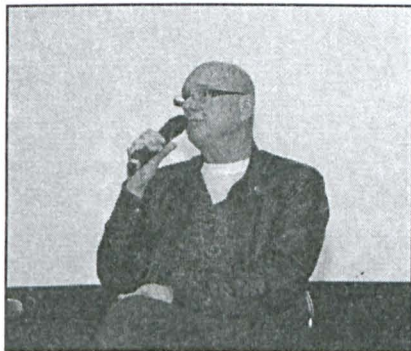
27 lipca 2013 r. odbyła się w gminie Sławatycze XXVI Międzynarodowa Biesiada Nadbużańska. Po uroczystym otwarciu imprezy na znak pokoju wypuszczono kilkaset białych gołębi. W dalszej części można było posłuchać zespołów, kapel ludowych, grup muzycznych i wokalistów z gmin nadbużańskich. W koncercie galowym wystąpił chór „Polesie” z Białorusi, zespół „Molodyczki” z Ukrainy oraz wiele zespołów i wykonawców z Polski. Nieodłącznym elementem nadbużańskiej biesiady są kiermasze wyrobów rzemieślniczych, którym towarzyszą wystawy oraz prezentacje, n. p. starych przedmiotów („W domu i zagrodzie”). Można też było skosztować smakowitych potraw regionalnych. Główną pośród nich był w tym roku gulasz z jagięciny. Wobec tego, że Międzynarodowa Biesiada trwała dwa dni, to również w godzinach wieczornych miała miejsce zabawa taneczna. Dużo się działo ... nocy było za mało.

Zabawa, biesiada ...

Rodzi się nam nowy zwyczaj na Podlasiu. Gminy, jak i poszczególne wioski, prześcigają się w integracyjnych imprezach ludowo-biesiadnych. Bardzo ciekawą - cykliczną już - imprezę zorganizowano m.in. w Worgulach (gmina Leśna Podlaska). Odkryło się tam drugie „Święto Pieczonego Ziemniaka”. Na scenie zaprezentowały się zespoły ludowe z okolicznych miejscowości, oczywiście w strojach ludowych, które śpiewem umilały spożywanie takich oto potraw, jak: pierogi ruskie, ziemniaki w mundurkach, placki ziemniaczane. W gminie Sosnówka odbył się Jubileusz Biesiadników, w Sławatyczach Nadbużańska Biesiada. Także wiele innych miejscowości włączyło się do konkurencji. Są to bardzo pozytywne zjawiska, bowiem zastępują dawniejsze wiejskie zabawy, organizowane raczej w sposób szablonowy.

V Bialski Festiwal Okołoliteracki

3 października 2013 r. rozpoczął się V Bialski Festiwal Okołoliteracki „Gdzie nie dociera blask”. Pierwszemu dniu imprezy przyświecało hasło „Huelle filmowo”. W bialskim kinie odbyła się projekcja dwóch filmów: *Weiser* - zrealizowany jako adaptacja książki Pawła Huellego pt. „Weiser Dawidek”, oraz *Wróżby kumaka*, do którego scenariusz napisał Paweł Huelle i Cezary Harasimowicz. Po zakończeniu prezentacji miało miejsce spotkanie z autorem scenariusza Cezarym Harasimowiczem. Obdarzony wyjątkową elokwencją i inteligencją z dużą swobodą opowiadał on o pracy scenarzysty w Polsce, m. in. o tym jak trudny jest ten zawód, jak mało doceniany. Jeśli film odnosi sukces, jest to zwykle zasługą reżysera, a jeśli film jest przysłowiową klapą, winę przeważnie ponosi scenarzysta. Z przeprowadzonego wywiadu wynikało, że scenariusze pisane są na zamówienie, a scenarzyści to zawód o charakterze usługowym. Kolejny dzień Bialskiego Festiwalu Okołoliterackiego odbywał się pod hasłem: „Podlasie wielu smaków”. Miało wówczas miejsce otwarcie wystawy pt. „Podlasie wielu smaków”, występy zespołu ludowego „Zorza” z Cicibora oraz dwa wykłady: „Wielokulturowość południowego Podlasia” – wygłoszony przez dr Szczepana Kalinowskiego, „Tolerancja obcych kultur” – wygłoszony przez dr Emmy Irobi. Na zakończenie amatorski teatr ze Studzianki – pod przewodnictwem dr Łukasza Radosława Wędy – przedstawił spektakl „Rekonstrukcja z życia tatarskiej rodziny”, co połączone zostało z de-



Cezary Harasimowicz



gustacją tatarskich potraw. Trzeci dzień Bialskiego Festiwalu Około-literackiego przebiegał pod hasłem „O pisarzu ...”. Uczestnicy festiwalu wysłuchali wykładu dr Aliny Kochańczyk p. t. „Wielokulturowość w literaturze polskiej” oraz wykładu dr Rafała Szczerbakiewicza p. t. „Twórczość Pawła Hullego”. Omawiając powieść „Weiser Dawidek” nawiązał on do pierwszego dnia festiwalu, zamykając tym samym kłamrą V Bialski Festiwal Około-literacki.

Sukces bialskiego trio

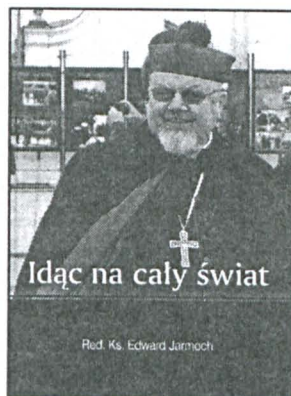
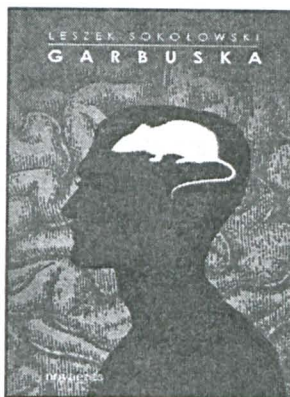
Ciężka praca, wielodniowe próby ... i tylko „chwilka” śpiewania. Podopieczne Ireneusza Parafiniuka z bialskiego zespołu „Chwilka” jednak wyśpiewały „cztery razy tak” w popularnym programie telewizyjnym „Must be the music”. Aleksandra Smerachańska, Aleksandra Olesiejuk i Paulina Puchacz po prostu zachwyciły jurorów oryginalnym wykonaniem ludowej piosenki „Kukuleczka”. Dzięki pozytywnym ocenom bialskie trio zakwalifikowało się do kolejnego etapu przesłuchań. Wniosek: trzeba mieć talent, do tego poparty rzetelną pracą dobrego nauczyciela. A repertuar? Nie koniecznie musi być z pierwszych miejsc radiowej czy telewizyjnej listy przebojów.

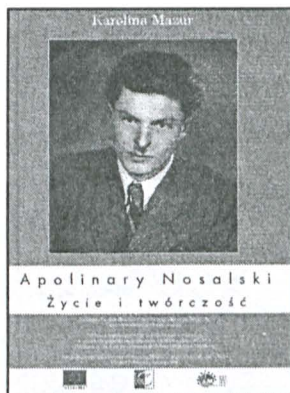
Opracował:
Jarosław Bartniczuk

NADEŚLANO DO REDAKCJI

Książki

- ✓ Iwan Ignatiuk, *Ukraiński govirki Pivdenного Pidljaszja*, Lublin 2013
- ✓ Ernest Szum, *Non nobis Domine ...: Działalność Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona na pograniczu mazowiecko - rusko - jaćwieskim w XIII wieku*, [Biała Podlaska] 2013.
- ✓ Leszek Sokołowski, *Garbuska*, Gdynia, 2013
- ✓ Karolina Mazur, *Apolinary Nosalski: życie i twórczość*, Siemień 2013
- ✓ Antoni Smoliński, *Milanów – Wieś Podlaska: ze wspomnień, opowiadań i kronik*, Milanów 2013
- ✓ Józef Geresz, *Leśniański Sługa: W 50 rocznicę koronacji i 330 zjawienia Cudownego Obrazu Matki Bożej Leśniańskiej*, Międzyrzec Podlaski 2013
- ✓ Edward Jarmoch (red.), *Idąc na cały świat*, Drohiczyn 2013
- ✓ Grażyna Niemierka, Artur Ziótek, *Populus Tuus – Hereditas Tua, Lud Twój – Dziedzictwem Twoim*, Kosów Lacki 2013
- ✓ Złoty jubileusz kapłaństwa J. E. Ks. Biskupa Antoniego Pacyfika Dydycza Biskupa Drohiczyńskiego, Drohiczyn 2013
- ✓ *Brat i Biskup: Księga Jubileuszowa poświęcona Ks. Bp. Antoniemu Pacyfikowi Dydyczowi OFMCap*, [Drohiczyn, 2013]





- ✓ o. Jan Tyburchy, Sanktuarium Matki Bożej w Leśnej Podlaskiej, Warszawa 2013
- ✓ Marta Świć, Tomasz Rudnicki, Odbite w lustrze: korespondencja poetycka, Radzyń Podlaski 2013
- ✓ Andrzej Cebulak (red.), Barbara Wikło (red.), Zamoyscy w Jabłoni, Jabłoń 2010
- ✓ W kręgu Augusta Zamoyskiego: studia z historii sztuki w czterdziestą rocznicę śmierci artysty, Jabłoń 2011
- ✓ Raport o stanie środowiska województwa lubelskiego w 2012 roku, Lublin 2013
- ✓ Z ziołami do zdrowia i urody: gminny poradnik zielarski Gmina Sosnówka, Sosnówka 2013
- ✓ Eugeniusz Korolczuk, Rogoźniczka: dzieje wsi i jej mieszkańców, Lublin 2013

Czasopisma:

- ✓ „Kraina Bugu”, nr 7 / 2013
- ✓ „Nadbużańskie Sławatycze”, R.XIII [2012]
- ✓ „Pryzmat”, nr 7-8 / 2013
- ✓ „Pryzmat”, nr 9 / 2013
- ✓ „Bialski Przegląd Akademicki”, nr 13 / 2013
- ✓ „Kwartalnik celny”, nr 1 / 2013
- ✓ „Gościniec Bialski”, nr 7-8 / 2013

„PODLASKI KWARTALNIK KULTURALNY”

do nabycia w:

* Księgarni Podlaskiej
(Biała Podlaska, ul. Warszawska 1)

* Miejskiej Bibliotece Publicznej
Dział Wiedzy o Regionie
(Biała Podlaska, ul. Warszawska 12 a)

* SAS Jaworscy Sp. Jawna
(Biała Podlaska, ul. Sidorska 2K)

*Książnica Bialska, Księgarnia Akademicka MARATON
21-500 Biała Podlaska, ul. Akademicka 2
www.maraton.net.pl, www.miks.pl

lub w prenumeracie



